

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 9 MARCA 1929 ROKU

NR. 10

TREŚĆ NUMERU: Ratujmy niemowlęta — *Natalja Jastrzębska*. Jak walczyć z apatią — *Helena Ryszkowska*. Poezje: „Niedokończeni“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Fiolety i fiołki (dok.) — *S. Borowska*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Samochodem na Riwierę (dok.) — *J. Putiatycz-Surynowa*. Z teatrów — *Z. M.* Kobieta w świecie i w domu — *j. k.* Musimy znać nasze prawa — *M. R.* Gniazda zatraskowe — *A. D.* Jak rozmrozić zmarznięte produkty spożywcze — *Inż. L.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Kilka nowych pomysłów na sukienki codzienne — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała“. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

RATUJMY NIEMOWLĘTA

Powiedział raz ktoś dobry aforyzm: „Každy ma „swoich“ biednych, biedni jednak nie mają nikogo“. Słuszność tego, złośliwego pozornie, powiedzenia stwierdzić możemy najlepiej na sprawie niemowląt opuszczonych matek.

Różne instytucje i stowarzyszenia krzątają się około ich ratowania: są między nimi zakłady miejskie, jak Dom Wychowawczy w Warszawie; są, oparte na inicjatywie społeczno-dobroczynnej, jak Tow. „Ratujmy Niemowlęta“; zajmują się nimi również inne związki kobiece o charakterze społecznym, — niemowlęta jednak mrą dziesiątkami z głodu i zimna, a matki ich idą przeważnie na drogę zupełnego upadku.

Sprawa ta jest prosto ropiejącą raną społeczną, może usprawiedliwioną do pewnego stopnia niewykończonymi jeszcze i nieuregulowanymi stosunkami wewnętrznymi naszego młodego państwa, niemniej jednak wołającą o jak najszybsze uzdrowienie. Zastanawiając się nad jego sposobami i starając się wniknąć jak najlepiej w istotę sprawy, nie możemy obrońić się zdumieniu — dlaczego? Jak istnieć może taki stan rzeczy? W dwudziestym wieku, w środkowej Europie, w kraju kulturalnym i uspołecznionym, w państwie, nie szczędzącem funduszy na różnorodne inwestycje społeczne niema dosyć energii i środków, aby ratować dzieci od zagłady?!

Tow. „Ratujmy Niemowlęta“ zorganizowało ostatnio zebranie propagandowe, na którym przemawiali członkowie Towarzystwa, lekarze Domu Wychowawczego i liczni zaproszeni, interesujący się sprawą. Na zebraniu tem usłyszeliśmy znów te same, krew w żyłach mrozące szczegóły, które przytaczałam już w „Bluszczu“ w artykule z Nr. 51 z. r. „Najnieszcze-

śliwsze matki“. Opuszczone kobiety, chore i głodne, błakają się po wyjściu z przytulku położniczego, niemowlęta mrą na rękach matek, mrą, porzucone w bramach i na śmietnikach, lub po krótkim pobycie w Domu Wychowawczym, dokąd przyniesiono je na pół zmarznięte!

I żeby o tem wszystkim społeczeństwo nie wiedziało, lub żeby na to nie reagowało! Gdzież tam! wie i reaguje intensywnie.

Członkinie Tow. „Ratujmy Niemowlęta“ pracują nad stworzeniem specjalnego zakładu dla opuszczonych matek i niemowląt; Związek Obyw. Pracy Kobiet projektuje dom podobny; w Poznaniu powstać ma również „Przystań“, instytucja tego samego typu, do redakcji naszej napływały po artykule „Najnieszcześliwsze matki“ liczne listy, wyrażające gotowość do ofiar, zapytania — gdzie je składać, co się robi w tym kierunku, — i mimo to wszystko, nie widać poprawy.

Musimy, wobec tych danych, dojść do wniosku, że akcja naprawy idzie mylną drogą.

I tak jest bezwątpienia.

Dowodzi tego między innymi fakt, że dwa różne stowarzyszenia zamierzają wybudować dom dla matek. Nie byłoby to zawiele, bo stolica potrzebowałaby zapewne i więcej, ale istota sprawy tkwi w tem, że kosztorys budowy jednego zakładu obliczono na 800.000 zł., z których dotychczas jedna instytucja zebrała.... 50 tys. złotych.

Do r. 1927 Towarzystwo „Ratujmy Niemowlęta“ stosowało akcję tak zwanej „pomocy otwartej“, t. j. pomocy opuszczonym matkom, którym dawano zapomogi, wynajdywano pracę i t. p. Dano tym sposobem ratunek 1700 matkom; był to jednakże tylko ratunek

doraźny, zapobiegający narazie podrzuceniu, lecz nie rozwiązujący zupełnie sprawy bytu dziecka i matki, na czas choćby całego okresu niemowlęctwa.

Towarzystwo postanowiło więc przekazać pomoc doraźną Kołu Pracy Kobiet, utrzymującym przytułek w Grochowie (na 15 łóżek!), a samo postanowiło zorganizować pomoc „zamkniętą”, t. j. skoncentrowaną w specjalnych zakładach.

To stanowisko Towarzystwa jest zupełnie słuszne, jakkolwiek bowiem musi istnieć forma udzielenia natychmiastowej pomocy kobiecie bezdomnej z niemowlęciem, to jednak sprawa umożliwienia takiej matce wychowania swego dziecka iść musi inną drogą.

Towarzystwo projektuje więc dwa typy zakładów: domy zarobkowe podmiejskie dla matek i kolonie gospodarskie i wiejskie, w których kobiety zarobkowałyby tamże gospodarstwem, ogrodnictwem i t. d. w myśl zasady utrzymania dziecka przy matce, kosztem jej pracy — systemu najlepszego dla życia i zdrowia dziecka, moralności matki i ekonomicznego wykorzystania funduszu publicznego.

Bo jeszcze o jednym trzeba pamiętać, o czym z przejęciem i wielką słusnością mówił na wspomnianym zebraniu jeden z lekarzy Domu Wychowawczego, że prócz zakładów obu projektowanych typów, potrzebny jest jeszcze jeden, najtrudniejszy i najkosztowniejszy do utrzymania — szpital dla tych matek, które przytulki opuszczają chore, niezdolne do pracy i które trzeba leczyć wraz z ich dziećmi, a tych kobiet jest większość. Skąd więc inicjatywa prywatna znaleźć może i zebrać pieniądze na to wszystko?

I tu leży jądro kwestji.

Zarówno teoria, jak i praktyka współczesnych poczynań społecznych wykazują niezbicie, że filantropja składek, zbieranych przez Stowarzyszenia i t. p. może być tylko pewną pomocą — ochrona społeczna opierać się wyłącznie na takiej akcji nie może.

Czy najofiarniejsze choćby społeczeństwo potrafiłoby utworzyć żłobki, powstające obecnie, drogą ustawy w każdej większej fabryce?

Nie, sprawy te musi załatwić rząd i samorząd. Rząd musi wprowadzić najpierw ustawę, regulującą rodzaj, powstawanie i byt takich zakładów, a następnie je subwencjonować. Zadaniem społeczeństwa powinna być inicjatywa, współdziałanie moralne i materialne, bezwzględnie, ale społeczeństwo samo, własnymi środkami kwestji nie rozwiąże. Nie pomoże ani proponowane również na zebraniu zbieranie składek od „zamożniejszych” (zwykle bardzo biednych) matek w klinikach położniczych, ani opodatkowanie kilku-nastugroszowe, ani przedstawienia, koncerty i t. p. — wszystko nie wystarczy.

Pomoc państwa dla zakładów opieki nad dziećmi wynosi obecnie około 3 milionów zł. rocznie. Jest to kwota bardzo skromna. Dokładają się do niej samorządy w sumach również nie astronomicznych. Warszawa np., jak to na zebraniu stwierdziła radna dr.

Budzińska-Tylicka, ma w budżecie rocznym kwotę 250 tysięcy złotych na ten cel, podczas gdy potrzeba najmniej miliona.

A więc to przede wszystkim zorganizować należy. We Francji każda kobieta ciężarna korzystać może z leczenia i zapomogi na wychowanie dziecka, nawet gdy niema zajęcia i nie podlega ustawie o ochronie macierzyństwa pracujących.

Czy dlatego, że nam nie grozi narazie depopulacja, może to być argumentem pozostawiania na zagładę setek dzieci rocznie?

W Niemczech istnieją w każdej klinice położniczej higienistki, których zadaniem jest opieka nad wychodzącymi z kliniki matkami, jeśli są chore, bezdomne i bezrobotne, a przecież w Niemczech niema obawy wyludnienia, jednakże dbają tam o dzieci.

Jedyną drogą uzdrowienia tej fatalnej bolączki społecznej jest dopilnowanie i należyte wykorzystanie już istniejących ustaw i stworzenie nowych, przetrzymujących pomoc finansową na państwo i samorządy. A więc należy przede wszystkim domagać się zorganizowania opieki nad opuszczoną matką przez samorządy, które są już zobowiązane do leczenia takich kobiet w szpitalach. Nawet i w tym wypadku jednak, gdy opuszczona matka nie kwalifikuje się do szpitala, powinna być przez higienistkę skierowana do stacji doraźnej pomocy, zorganizowanej przez miasto lub gminę.

Dalej należy zmienić obowiązujący obecnie regulamin Domu Wychowawczego, który przyjmuje wszystkie dzieci, przyniesione z ulicy, podrzutki, odmawiając bezwzględnie przyjęcia dziecka od matki, i tym sposobem — chyba wbrew intencjom swego twórcy — często zmusza wprost matkę do opuszczenia niemowlęcia. Niema obawy, aby taka zmiana wpłynęła na niemożliwe dla Domu zwiększenie liczby jego pensjonarzy. Najgorsza i najuboższa matka w ostateczności jedynie rozstaje się z dzieckiem. Zresztą możnaby wprowadzić kontrolę, dopomagać matkom, oddającym swe dzieci do Domu Wychowawczego w uzyskaniu pracy i zobowiązać je do zabrania dziecka, w razie polepszenia warunków. Można również zorganizować umieszczanie dzieci na wychowanie; system ten, dobrze pojęty, stosowany jest w wielu krajach zagranicą i daje dobre rezultaty. Tu właśnie byłaby rola odpowiednia dla pomocniczej pracy społecznej w formie kontroli i opieki.

Trzeba dalej rozciągnąć ustawę o ochronie macierzyństwa jaknajszerzej. Ogromny np. procent matek opuszczonych dają służące. Kobieta taka, zmuszona do odejścia ze służby, wpada w nędzę. Należy dać jej możliwość dłuższego, niż dotychczas, korzystania z pomocy Kasy Chorych, otrzymania zapomogi dla bezdomnych, dać jej po wyzdrowieniu możliwość znalezienia pracy. W razie, gdy jest mężatką, żoną np. bezrobotnego, należy dać mężowi pierwszeństwo w otrzymaniu zajęcia.

Przedewszystkiem zaś w każdym mieście, w każdym większym środowisku powstać musi, obok stacji doraźnej pomocy dla opuszczonych matek, stały zakład, gdzie znalazłyby kurację, a po wyleczeniu — pracę i możność wychowania dziecka.

Na wszystko to potrzebne są poważne sumy. I tu leży przyczyna nikłych dotychczas rezultatów akcji społecznej. Samą filantropją potrzebnych środ-

ków się nie zbierze. Do zadań społeczeństwa, którego rola może być zresztą bardzo wydatna, należy inicjatywa, propaganda i pomoc, przedewszystkiem zaś wykazanie nagłości i wagi sprawy i żądanie załatwienia jej przez czynniki miarodajne, które nie mogą odmówić. Załatwienia sprawy, od której zależy przyszłość zdrowego społeczeństwa.

Natalja Jastrzębska.

HELENA RYSZKOWSKA

JAK WALCZYĆ Z APATJĄ

Kobiet samotnych w dzisiejszych czasach jest poważny legjon, a większość ich cechuje apatja i bierny stosunek do życia.

Pomieważ apatja jest klęską dla duszy, jej chorobą — zrozumiała jest rzeczą, że należy z nią walczyć, a najwłaściwiej — stosować środki zapobiegawcze, by się nie zdołała zakorzenić.

Rodzina — to źródło największego szczęścia dla kobiety. Do tego przygotowała ją natura i wychowanie wielu wieków. Trudno jednak przekreślać życie i oddawać je na pastwę apatji, dlatego tylko, że warunki ułożyły się tak, iż godności kapłanki domowego ogniska piastować nie można. Życie samotne ma również swoje jasne strony: brak trosk, związanych nieodłącznie z życiem rodzinnem, i wolność, którą jednak kobieta samotna nie zawsze w należyty sposób wykorzystać potrafi.

Apatja nie zdoła dotrzeć do duszy kobiety samotnej, jeśli ta kobieta umiejętnie ułoży sobie życie.

Za jedno z poważnych źródeł „radości życia” uważam własne, niezależne mieszkanie. Większość kobiet samotnych odnajduje „pokoje przy rodzinie”. Jeśli z tą rodziną nie wiążą żadne nici serdeczności, mieszkanie staje się tylko tymczasowym dachem nad głową, schroniskiem, gdzie nie można czuć się „jak u siebie w domu”. Najpraktyczniej i najlepiej ze względów towarzyskich byłoby, ażeby kobiety samotne tworzyły kilkusobowe grupki, wynajmowały mieszkanie, odpowiednie do swego uposażenia materialnego, takie jednak, by każda miała przynajmniej jeden pokój własny, a jeśli możliwe — by były i wspólne (jadalnia, salonik).

Oplaci się wtenczas prowadzić wspólne gospodarstwo, co wypadnie ekonomicznie i usunie owe „obiady na mieście”, stwarzające atmosferę czegoś tak bardzo tymczasowego, obcego...

Znam nawet takie kobiety, które po pracy umysłowej same zajmują się gospodarstwem domowym, traktując je, jako rozrywkę i ćwiczenie mięśni.

O tem, że mieszkanie musi być estetycznie urządzone, nie wspomniałabym, gdyby estetyka mieszkań

stała u nas na należytych poziomach; ponieważ jednak nie stoi, muszę o niej przypomnieć.

Z wdziękiem i gustem urządzone mieszkanie staje się dla człowieka przytulnym gniazdkiem, w którym mu nieskończenie dobrze. Tem większe znaczenie ma ono dla kobiety samotnej.

Wolność pozwala na używanie sportów, które mają chronić ciało i duszę przed starzeniem się, a są doskonałymi środkami zapobiegawczymi przeciwko apatji. Niema na świecie kobiety, któraby, wróciwszy np. z tenisa, siatkówki lub ze ślizgawki, mogła oddawać się smutnym rozważaniom na temat swej samotności. Natomiast radziłabym unikać dancingów, po których owe rozważania najczęściej się nasuwają.

Takie samo znaczenie posiada mało jeszcze wśród nas rozpowszechniona turystyka. Piękno przyrody, z którą się człowiek styka podczas podróżowania, wlewa tyle pogody do duszy, tyle daje zadowolenia, że nie znajdzie się miejsce dla smutnych refleksyj.

Trzeba też trochę czasu poświęcić pracy społecznej, której dużo leży odłogiem dlatego, że niema komu pracować. Praca społeczna da kobiecie samotnej to przekonanie, że nie jest ona bezużytecznym pionkiem, który nie wie, po co żyje na świecie, lecz — że jest cegielką w wielkim domu, który się społeczeństwem zowie.

Czy to wszystko, o czem pisałam, da niezawodnie pogodę ducha? uchroni przed apatją? Bynajmniej! jeśli brakować będzie rzeczy najważniejszej — radości życia, która cechować powinna każdego człowieka! Trzeba się jej uczyć, trzeba ją w sobie wyrabiać — stale, przez życie całe. Jest to najtrudniejsza praca, bo praca nad sobą samym.

Bezwarunkowo, więcej pracy musi poświęcić kobieta, z której nieodpowiednie wychowanie uczyniło rozkapryszoną, z niczego nigdy niezadowoloną istotę, niż ta, która od dzieciństwa uczyła się zwalczać przeszkody i na świat patrzeć słonecznie. Amerykańskie hasło „uśmiechaj się” powinno być dobrze znane kobietom samotnym.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

NIEDOKOŃCZENI

Są ludzie w zdartych butach, ludzie opuszczeni,
 błądzący po ulicach z pochyloną głową.
 O zmierzchu stają często w teatralnych sieniach,
 czytają na plakatach jakieś jedno słowo.

Mają oczy bezsilne i bezsilne pięści,
 lubią dworce samotne, świsty lokomotyw,
 pociągi, odchodzące w różne światła części,
 mają, wycieczki podmiejskie, wieczorne porroty...

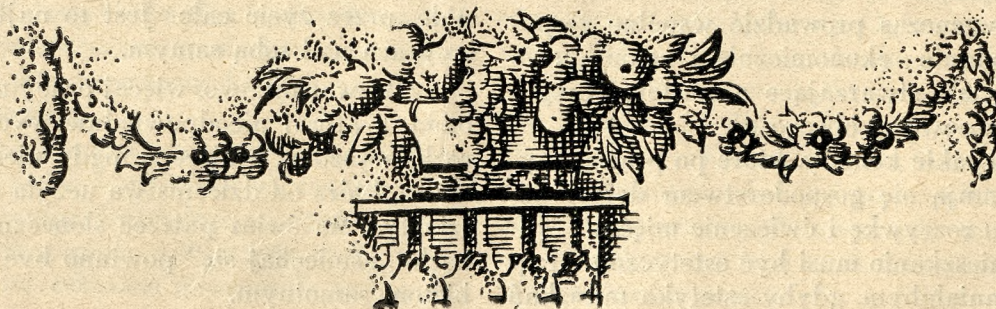
Są, jak Prometeusze, zapoznani, szarzy.
 Nikt ich o nic nie pyta i nikt o nich nie wie.
 Wloką za sobą w życiu centnary smych wrażeń,
 nie mogąc ich odrzucić w buntowniczym śpiewie.

Mówią zamsze, jak dzieci, i zamsze do siebie,
 lubią patrzeć na wschody i zachody słońca,
 na gwiazdy, topniejące w granatowym niebie...
 śmierć-twórcy, śmierć-poeci, tragiczni do końca.

Zapatrzonym w własnego serca tajemnicę
 śnią się wielkie eposy w ciche, ciemne noce.
 Mają chwile wymyśleń i chwile zachwoceń,
 kiedy straszą się w męcę zapytaniem: poco?

Nie żenią się. Pracują w jakichs biurach cichych,
 gdzie cyframi godziny monotonne znaczą.
 Piszą niezdarne wiersze o kwietnych kielichach,
 wiersze, które w ich mowie żyć nie mogą zacząć.

Placzą, Boże, że dałeś im tyle tęsknoty,
 a dociągnąć nie chciałeś jednej malej strunki.
 Brak im tragicznie malej części iskry złotej,
 by bez błędu myrównać mogli swe rachunki.



FIOLETY I FIOŁKI

Jego Ekscelencja nie raczył nigdy zadzwonić na pielęgniarkę, ani wezwać jej półgłosem wołaniem. Przychodziła wreszcie sama, zbliżała się bezszelestnie do łoża i pochylała z niepokojem nad chorym, tak bardzo podobnym już do umarłego.

Słońce wkroczyło triumfalnie w znak Barana — za oknami biskupiego pałacu zadrgała wiosna. Złoci sta stora w oknach sypialni Jego Ekscelencji nasiąkała co wieczór purpurą zachodu. Biskup dogorywał, nie mogąc umrzeć.

— Panie, zalim nie gotów? — pytał ukrzyżowanego Mistrza. Ale Chrystus nie odpowiadał. Możliwe, że oddał swego sługę całkowicie we władze ziemskie na ostatnią w życiu próbę, na ostatnie przeżycie...

Mijały ciężkie, posępne dni. Biskup modlił się już tylko krótkimi westchnieniami. Dławiąca tęsknota uciskała serce. Zasnął wreszcie pewnego popołudnia, odmówiwszy posiłku i lekarstwa. W sypialni panowała głęboka cisza.

Nagle cichutkie kroki w przyległym pokoju zwróciły uwagę pielęgniarki. Pukanie do drzwi, szmer rozmowy, prowadzonej nikłym szeptem, nie obudziły Jego Ekscelencji. Z za parawanu wychyliła się postać młodej kobiety w fartuchu pielęgniarki z ogromnym, trzymanym oburącz, bukietem fiołków. Na pogodnej twarzy nie było w tej chwili spokoju zwierząt przeżuwających, tak nienawistnego biskupiej „szaleństwem krzyża” naznaczonej, duszy. W panińskiej twarzy była troska. Bezszelestnie podeszła do łoża i pochylała się nad tragiczną rzeźbą biskupiego oblicza. Powieki chorego nie zadrgały. Ileż razy stała tak bezradna, niepewna, żyje-li jeszcze, czy już odszedł — bojąc się przerwać sen jego, tak podobny do śmierci, a tak czujny, że płoszyło go nieraz samo tylko spojrzenie. Ileż razy, chcąc zbadać, czy żyje, zbliżała do ust Biskupa małe kieszonkowe lusterko...

Dziś Biskup obudził się natychmiast, muśnięty zaledwie wzrokiem pielęgniarki.

Tłumaczyła się nieśmiało, zawsze trochę zdetronowana wobec swego surowego pacjenta:

— Ogrodnik przyniósł... pierwsze fiołki w tym roku... Nie wiedziałam, czy Jego Ekscelencja śpi, czy tylko odpoczywa...

Biskup spojrział na kwiaty i poruszył lekko, na głowie chińskiego smoka, zdobiącego kołdrę, spoczywające palce...

Zrozumiała odrazu i położyła Mu na rękę wiązkę fiołków...

— Resztę trzeba będzie włożyć do wody i postawić daleko, od łóżka, bo bardzo pachną ..

Biskup leżał znów, jak martwy, zamknawszy oczy. Tylko palce na złocistej kołdrze drgały lekko w gęstwinie rozrzuconych kwiatów...

— Storę — usłyszała nagle cichy głos ..

Zrozumiała natychmiast.

Odsłoniła okno. Niebo barwiło się cudnie i słońce zachodziło wprost naprzeciw sypialni...

— Już więcej nie? — zapytała, dziwiąc się sama zuchwalstwu swojemu.

Biskup zrobił ledwie dostrzegalny ruch przeczący głową i uśmiechnął się... ale nie uwierzyła własnym oczom... Złudzenie. Biskup nie uśmiechnąłby się nigdy, zwłaszcza do niej.

Tymczasem Jego Ekscelencja dumał. Fiołki, które tak lubił dawniej i to słońce jaskrawe, wiosenne. Na chwilę ucichły wszystkie dolegliwości. Zdawało mu się, że znalazł teraz, dopiero teraz zagadkę długiej, ekliwej, lepkiej tęsknoty, która go dławiła w przewlekłe, bolesne dnie choroby, gdy język zapominał słów modlitwy... Ziemia podeszła do niego po raz ostatni w ten wieczór wiosenny, z naręczem fiołków pachnących, ziemia, o której nigdy nie raczył pamiętać. Ziemia, która była mu tylko odskocznią w locie ku nieskończoności.

Biskup pożałował, że nigdy nie miał córki. Zateśknił do tego, czem mogłaby być jej miłość w jego życiu, jej opieka w ostatniej chorobie, jej modlitwa w chwili konania, w straszliwej chwili przejścia na tamtą stronę, jej ręce, poprawiające zbuntowane, martwe a jakże złośliwe wobec jego niedołęstwa, przedmioty: poduszka, prześcieradło, kołdra, firanka u okna... Widział ją w tym momencie, tę nigdy nie narodzoną, zamkniętą w otchłani niebytu. Widział ją tak, jakby żyła. Jego córka.

Ale nie pragnąłby mieć jej z jakąkolwiek kobietą... Musiałaby się urodzić, jak bogini, z tęsknoty dumnego, straszliwie samotnego serca swojego ojca. Musiałaby być zupełnie na jego obraz i podobieństwo stworzona. Stałaby teraz przy nim, w ręce gorące od żywej, czerwonej krwi, brałaby jego palce, już dotknięte jadem rozkładu. Dusza jej leżałaby z nim razem na tem straszliwym łożu boleści, dzielilaby, brała w siebie wszystkie jego cierpienia. Ach, Boże, jego córka! On sam, jego dumna, szalona szaleństwem Krzyża dusza, wcielona w żywy kształt kobiecy!

Nigdy jej nie było. Nie mieszkała nigdy w jego domu. Nie wie, jak dobrze byłoby jej u ojca. Tak dobrze, że nie zateśkniłaby do innej miłości...

Ale przecież umiera już... Coby się stało z nią, gdyby umarł?

Dusza Jego Eksceleńcji, znalazła już miłość najwyższą i wzdrygnęła się na myśl o tem, że ta właśnie jedyna, dusza jego duszy, zostałaby tu bez niego na świecie.

Spojrzał na wszystkie możliwości kobiecego szczęścia i niedoli i pożałował swego dziecka. Nie, nie było tu dla niej miejsca. Wszystkie prawa napisali mężczyźni — dla siebie. Wszystkie przywileje ustanowili — dla siebie. We wszystkich, najgłębszych, najgenjalniejszych, przez mężczyzn wymyślonych systematach filozoficznych — była tylko zlem nieuniknionem.

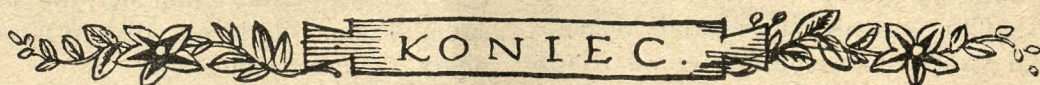
Jakże dobrze, że nie było jej nigdy, że się nie urodziła, że żyła tylko w krótkim, przedśmiertnem marzeniu swego ojca!

Słońce leżało na kołdrze mahoniowego łoża, ciepłe, radosne, jak pozdrowienie wiosny. Ale palce Jego Eksceleńcji krzepły już od wewnętrznego zimna. Zamknięte powieki nasiąkały purpurą zachodu i poprzez zamknięte powieki słał się Jego Eksceleńcji jakiś daleki, królewski, pod niebo czy do nieba wiódący gościniec... Biskup liczył ciągle długi różaniec kobiecej niedoli...

— Nie będziesz się wysługiwała jakiemukolwiek mężczyźnie...

Otworzył raz jeszcze oczy. Chrystus na wielkim, czarnym Krzyżu naprzeciw łoża wyciągał do niego ramiona.

Biskup odszedł purpurowym, gorącym szlakiem zachodu.



M. H. SZPYRKÓWNA

7)

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

I czy mąż mój żartem czy serjo mówił, że umyślnie zarezerwował sobie w akcie ślubnym nieformalność ze świadkami, ażeby w razie czego, rozwód był łatwiejszy? Wtedy się śmiałam; miał takie swoje nieprzeniknione sposoby. Ale dziś?...

I tak oto żyliśmy, jak na dwu różnych planetach: ja — na swoim końcu wielkiego, ponurego zamczyska, on — na przeciwnym. Odemnie nie wychodził nikt, a przychodziły tylko czasem kobiety z płótnem lub koronkami, któremi się zaczęłam interesować. Trzeba było przecież coś szyć! Malenka, lalczyna wyprawka zapelniała mi dnie. Siedziałam przy oknie i haftowałam, szydełkowałam, lub szylam całemi dniami. Czasem — szłam na spacer do parku, który teraz był jedną rudera, przylegającą do urwistego jaru. Mogło tu niegdyś być pięknie, mogłoby tu, co więcej, być jeszcze piękniej kiedyś... Ale nie robiono potem nic. Mąż zawsze mówił tylko o przeniesieniu się lada miesiąc do rezydencji na Węgrzech, gdzie miało być nawet centralne ogrzewanie i winda, a tymczasem — przyjmował u siebie na tajemnicze kontencje podejrzenie wglądające indywidua z hakowatemi nosami, wysyłał przez Waclawa listy i sam odbierał Japesze, czasem — wyjeżdżał nagle do miasta, czasem — ginął na polowaniach, i tak oto wlokły się miesiące, szare, jak pajęczyna, kiedy nagle buchnął w nie, jak czerwony grom, bezlitosny cios życia: ten, który ostatecznie ukazał mi tajne dotąd nici

zdarzeń, z których się uplotła moja znakomita „karjera“...

Ale spróbuję opowiedzieć pokolei.

Rozplakałam się, bardzo nieszczęśliwa. Zapewne w związku z oczekiwaniem dziecka, nerwy miałam roztrzęsione, jak podarte struny.

— Bo patrzysz na mnie zawsze tylko krytycznie, bo każdy mój krok ci nie odpowiada. To nieznośne, to nie do wytrzymania. POCO SIĘ ZE MNĄ OŻENIĘŚ, JEŻELI TAK?!

Usiadł, znudzony, na kulawym fotelu, (wszystkie meble w tem rodowym zamczyszczy były zbiorowiskiem rupieci w starej rudery) i zapalił uważnie papierosa. Nie znosiłam w tym stanie dymu i zaczynało mnie natychmiast mdlić.

— Moja droga, człowiek zenając się, ma swoje kombinacje, a życie je skutecznie lub nie. Naprawdę nie wiem, dlaczego zresztą kobiety stają się po małżeństwie tak... dużo mniej interesujące. Czy musisz nosić takie niskie obcasy, w których noga wygląda na platfus?

— Muszę, bo doktor kazał, i nie zależy mi na tem, żeby czarować... ściany. Jestem przez cały dzień sama, tygodniami nie wracasz ze swoich polowań i pikników, nie mam z kim słowa zamienić. Jeżeli, to jest życie, jeżeli... jeżeli takim ma być to małżeńskie osławione szczęście... Wolałabym już mieszkać u ciotki Gertrudy, albo iść do biura, na bonę, czy na gu-

wernantkę, wszystko jedno, byle nie tu. Nie tu! Tyle razy prosiłam, żebyś kazał naprawić sufity w zielonym pokoju, przecież tu nie mogę trzymać dziecka, w tych mokrych murach. Pytałam Wacława, kiedy przyjdą robotnicy, powiedział, żeś nawet nie kazał zawołać. Umrę w tych ruinach zanim... dziecątka się urodzi, bo ty nie masz czasu nawet posłać do miasteczka po mularzy, nawet nie mam prawa kazać sobie napalić, kiedy mi dokucza ziab. Dokąd... dokąd idziesz?

— Dokądkolwiekładź. Sceny małżeńskie nie leżą w moim repertuarze. Bardzo żałuję, ale na inne mieszkanie w tej chwili finansowo nie jestem przygotowany a zresztą... wymagania stawia się zwykle wtedy, kiedy ma się na ich poparcie jakieś... prerogatywy realne. Gdybym roztrwonil, powiedzmy, pieniądze z twego posagu, zamiast odrestaurować podług twego życzenia dom, miałabyś może racje, ale tak... Wybacz, są to pretensje nieuzasadnione conajmniej. Zanim dziecko przyjdzie na świat, zielony pokój zdąży się kilkanaście razy odnowić i uporządzić. Zresztą, jest to kwestja przypomnienia, nie robiem mokrych scen. Ale jeśli uważasz za stosowne, to nie przeszkadzaj sobie i nadal.

I wychodził, aby zniknąć na dzień, dwa lub tydzień, a ukazać się potem na godzinę, gdyż nawet, kiedy był w domu, spędzał czas w swoich pokojach na przeciwnym końcu gmachu. Mieszkaliśmy w dwu różnych jego skrzydłach, gdyż te zachowały się najlepiej: środkowa część była jednym rumowiskiem, z wybitymi oknami, które pozabijano deskami, z tynkiem, lejącym wielkimi płatami na zdarte miejscami posadzki, i zaciekami na mokrych od wilgoci murach ścian, na których łachmanami wisiały tapety. Miejscami w tych pustych pokojach tułały się jakieś takie meble, miejscami — ziała zupełna pustka. W mojem skrzydle mieściła się moja sypialnia, jako takie umeblowana zbieraniną staroświeckich, połamanych gratów, które, jak mogłam, doprowadziłam do wyglądu, a poprzez korytarz — kuchnia i pokój gospodyni. Był najcieplejszy w całym gmachu i chciałam go koniecznie użyć na pokój dziecinny, ku niezadowoleniu ponurej Czeszki. Nie podobało jej się przenosić do służbowego na drugie skrzydło, co mnie znowu bardzo się uśmiechało. Nienawidziłam tej ciężko sklepanej, wysokiej, pochylonej i ciemnej kobiety. Chodziła ciężkimi krokami, jak mężczyzna, i wiele razy się przestraszyłam w nocy, słuchając, jak idzie koło moich drzwi. Kamerdyner męża, Wacław, stąpał zato w przeciwstawieniu do niej bezszelestnie i cały był płowy i wyprany, jak maska bez twarzy. Nie widziałam oczu tego człowieka: patrzył zawsze gdzieś obok i wdół poprzez jasne, dziwne rzęsy.

Była to najdziwniejsza para służących, jaką znalazłam. A mój biedny, stary Franciszek dreptał z pokojiku na piętrze, gdzie mu wyznaczono lokal, poprzez

zimne i przedmuchiwane przez hulające przeciągi pokoje starczemi swemi kroczkami, i w poczciwych, siwych oczach, miał, patrząc na mnie, taki żal i tak kiwał głową, że bez słów rozumieliśmy wszystko, co by się tylko o naszym życiu dało powiedzieć. Ach! Oboje nas zawiódł los. Ja uciekłam od życia, od ciotki, i liczyłam na karierę przez małżeństwo z baronem; on liczył, że przy mojej karierze dokończy w spokoju skólanego służbę u Lory życia.

Lora nie była matką dla swoich domowników, o! nie! Była prawdziwą królową - Śnieżycą z bajki: pod jej spojrzeniem lzy lodowaciały, chociażby wycisnął je najgorętszy ból. I oto oboje byliśmy zarówno oszukani przez los!

*

Któregoś dnia Franciszek zapukał do mnie o godzinie, o której zwykle jeszcze sypiałam. Przestraszona, otworzyłam drzwi.

— Proszę jaśnie pani, depesza! Pan baron kazał natychmiast doręczyć i dowiedzieć się, czy co się stało.

Depesza mnie przeraziła, i dzięki temu przeminał niespostrzeżony niezwykle skądinąd fakt, że mąż mój wogóle czemś, mnie dotyczącem się, interesował. Niestety. Był bardziej przewidujący, niż ja, i zgóry wiedział, że mogą to być wieści tylko od ciotki, a te obchodziły go, można powiedzieć jedynie. Zbyt późno przejrzałam, dlaczego, chociaż przemądra Lorcja zorientowała się w tem świetnie jeszcze podczas konkurów o mnie barona. To też postanowiła się widocznie zabezpieczyć, wiedząc, że po ciotce możemy dziedziczyć tylko my dwie: ona i ja. Co do mnie, myśl o tem, że wogóle prawnie przysługiwałaby mi jakaś część majątku ciotki, jako najbliższej krewnej -- wydawała mi się wtedy niewiarogodną i nawet — nieuczciwą. Tak, jakbym czyhała na czyjąś śmierć, i to przytem — ciotki, która przecież, bądź co bądź, przez trzy lata leżyła na mnie i wogóle wypisała mnie z głuchego zakątka puszczy, na wielki świat! Czy ku dobremu? Pytanie! Ale wtedy nie wątpiłam, że tak: ów świat olśniewał mnie swoim syciem. Oddałam za niego szczerozłotą naszą leśniczówkę z Jankiem, dziadkami i księdzem proboszczem. Ale żeby mi się jeszcze ponadto coś należało, żebym czegoś mogła wymagać. To nie powstało mi nawet w głowie. Tak samo, uważałam za wielką łaskę ze strony ciotki, że dała mi piękną wyprawę, która mi nawet ciążyła wyrzutem sumienia; ale żeby miała dać jeszcze posag — nie przeszło mi przez myśl! Rosłam, wiedząc, że jestem zupełna sierota, a że matki mojej rodzina dawniej się jeszcze wyrzekła, od kogóż i co mogło mi się należeć na świecie?

Mąż mój spraw materialnych prawie nie poruszał. Mówię: prawie, bo raz jednak — było to w podróży poślubnej, właśnie na owej gondoli w Picinach — zapytał bardzo pobieżnie:

— Czy miałaś jakiegokolwiek sprawy prawne do regulowania z ciotką lub z adwokatem z powodu twojego małżeństwa? Nie chciałem się informować u samej pani Gertrudy, żeby się nie wydać natrętnym.

Nie zrozumiałam. Ach! Mąż mój mówił zwykle tak nieuchwytnymi zdaniem.

— Z ciotką lub adwokatem? Nie! Cóżbym mieć mogła? Zresztą, z adwokatem sama nie rozmawiałam jeszcze nigdy w życiu: raz tylko, kiedy Lorcja miała jakąś sprawę, i przyjechał do niej pan mecenas. Tak zresztą ze sobą mówili, że trudno było zrozumieć o co właściwie szło?

Mąż mój przeżył jakieś memile widocznie wrazenie. Jednak, pominął to bez komentarzy, a natomiast o Lorze dodał krótko:

— O! Hrabina jest sama świetnym adwokatem. Przynajmniej, jeżeli chodzi o obrócenie nawet wątpliwej sprawy na swój niewątpliwy zysk. Obrońdaby się zawsze świetnie, jestem o nią spokojny, nawet, gdybym miał powody do niepokoju!

Miał większe, niż przypuszczał, jakkolwiek inne: wykryło się to jednak dopiero ze śmiercią ciotki. Ale wracam do depeszy.

Depesza do mnie, do której nie pisywał nikąd i nikt! Tylko od babciuni miałam parę razy listy krótkie, bo staruszka cierpiała na oczy. Co to mogło być? Może Lorcja namyśliła się nagle przyjechać? Rozdarłam gorączkowo blankiet — i zastygłam z nagłości komunikatu, jaki zawierała. Tekst brzmiał krótko:

Baronowa umarła, pogrzeb, w myśl życzenia, odbyty bez zawiadomień; pojutrze otwarcie testamentu.

Podpisany był rejent ciotki. Umarła. Patrzałam przed siebie nierozumiejącymi oczami. Nie byłam przywiązana do ciotki o tyle, żeby się specjalnie jej śmiercią przejąć, jako taką: ale poprostu nie wyobrażałam sobie tego faktu realnie. Była tak podobna do numizmu: sucha, maleńka, w papuzich piórkach na koronce przy siwych loczkach, despotyczna i wiecznie żywa — że nagła jej śmierć była wprost czemś fantastycznym. Wprawdzie, skarżyła się ostatnio na sklerozę i leczyła się podczas naszego pobytu zagranicą kąpielami i naświetlaniem, ale śmierć. Przecież nawet mój mąż tak był od tej myśli daleki, że projektował spędzenie wakacyj wspólnie z ciotką, gdzieś u wód? I czyż nie mówiła, że zostanie chrestną matką naszego przyszłego maleństwa?

Franciszek stał i czekał, niespokojnie patrząc na mnie pocziwemi, bławemi, od starości oczyma. Wyciągnęłam do niego depeszę.

— Niech Franciszek odda panu! Pani baronowa umarła. Trzeba tam jechać. Moj Boże! jak to się wszystko stało? Niech Franciszek przedziutko idzie.

Tegoż dnia wieczorem jechaliśmy kurjem na otwarcie testamentu.

* * *

Już wtedy uderzyło mnie, że mąż mój niepomiernie więcej przejął się śmiercią ciotki, niż ja sama. Nie widziałam go przedtem nigdy tak wytrąconego z równowagi. Cały dzień wyjazdu spędził w domu i nawet — o dziwo! znaczną jego część wspólnie ze mną. Byłam słaba, czułam się bardzo źle, mdliło mnie i miewałam zawroty głowy. Stan swój naogół przechodziłam bardzo ciężko i bez żadnej fachowej opieki, zupełnie nie mając osobistych wiadomości w tym kierunku ani z książek, ani z otoczenia. Za półtora miesiąca dziecko już miało przyjść na świat. Czułam się chora, ciężka, brzydka i przybita. Zaszłabym się w ciemny kąt i nie widziałam świata, byle ten kąt był ciepły i życzliwy! A nasze ruiny ziały zimnem i pustką, a życzliwość... Jeden stary Franciszek, wierzyłam, że ją dla mnie ma.

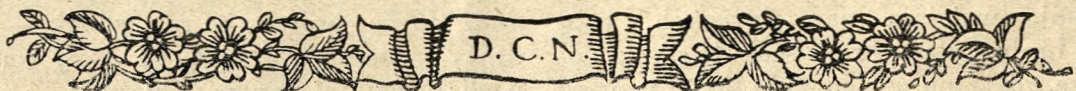
Teraz mąż nadspodziewanie zajął wobec mnie stanowisko czułości, do której nie miałam zbyt dużo czasu przywyknąć. Odzwyczajając się nawet od krótkich chwil posłubnej tklivości, miałam już dość sposobności. Zaczynałam się jej raczej obawiać, jak niezrozumiałego zjawiska natury.

W przedziale mąż mię otulił, okrył, podłożył poduszkę i na wszelki sposób okazywał swoje zainteresowanie.

— Mizerne jest małżeństwo i takie niepodobne do czupurnej Haneczki, że na podziw. Moja droga, powinnaś się więcej oszczędzać. Czy każesz dość palić w piecach na tamtem skrzydle? Stanowczo, to był niefortunny pomysł sprowadzenia cię do tego rumowiska. Wprawdzie nie znałem dostatecznie warunków, ale sądziłem, że Waclaw to załatwi lepiej. Ostatecznie, wyglądałaś na tak tryskającą zdrowiem, kresową pannę, że nie obliczyłem się dość z możliwemi niewygodami. Zwłaszcza, wobec niedalekiej przyszłości. Ale z tą ciotką! No? Przecież miała się zupełnie nieźle. Ktoby mógł przypuścić? Gdyby wiedzieć, że są takie prawdopodobieństwa, bezwzględnie nie powinnabyś była odjeżdżać! Zawsze, daleko bezpieczniej!

Zastanowiła mnie ta nagła troska, z całą jednak naiwnością odpowiedziałam:

— Och! Jeżeli idzie o opiekę, to przecież Lorcja od trzech miesięcy była przy niej, nawet z dziećmi! Mimiś nie skończył przerabiania wili, i Lora się wprowadziła do ciotki. Podobno nawet otwarto dla niej apartamenty po baronie, których nie wolno było nikomu przestąpić. Lorcja miała zawsze na ciotkę Gertrudę największy wpływ!



J. PUTIATYCZ-SURYNOWA

3)

SAMOCHODEM NA RIVIERE

Więc: obok młodych, opalonych twarzy i śmiałych oczu — marynarzy — białe burnusy arabów. A dalej czerwone fezy żołnierzy wojsk kolonialnych: wielkowiejskie, wymalowane, samotne damy; poorne wichrami twarze wilków morskich (z nieodłączną fajką); białe kostjumy nadmorskiej publiczności sąsiednich plaż; skośne, mongolskie oczy chińczyków: olbrzymie, cov-boy'owskie kapelusze, nad ciemnymi twarzami metysów; panienki z warkoczami z głębokiej prowincji; przerażające, welniste głowy negrów; korkowe helmy afrykańskich plantatorów: śniade, potwornie tęgie i bardzo wydekoltowane mieszkanki Algieru i... czarny, o szerokich kresach kapelusz księży...

Tłum... tłum dziwaczny, jaki spotkać można jedynie w portowym mieście, mówiący wszystkimi językami i gwarami świata.

Patrzę na ten tłum i wywołuję wizję dawnej przeszłości.

Pustka wokoło, szafir morza, dzikość skał. W oddaleniu Marsylja, jako wielkie miasto Galji rzymskiej.

Na łodzi płynie Łazarz, Marta i Marja z Magdali. Spiewają pieśni nabożne.

Co za kontrast!

Co za kontrast z tym tłumem, z tą Marsylją, ot tam, na prawo, w Quartier Saint Jean. Mieszka tam najniższa prostytutcja, mieszkają osiemdziesięcioletnie staruszki, które jeszcze mają powodzenie, mieszkają setki dziewcząt, o których tak pisze Montfort:

„Ulica Bouterie. Wyobraźcie sobie uliczkę wąską, wzdłuż której znajdują się małe sklepiki. Otwarte drzwi ukazują czerwone tapety, łóżko i miednicę na stolku. Te sklepiki — to pokoje. W każdym znajduje się kobieta w kolorowej koszuli, w różowych pończochach, o silnie umalowanej twarzy i o złotych włosach. Wieczorem lampy naftowe dziwnie krwiste i złowróżbne refleksy rzucają na czerwone tapety. Niektóre dziewczęta przyczepiają te lampy nad drzwiami. Wtedy płomień oświetla niejasno siedzącą, lśniąca w szklanych biżuterjach i rzucając zadziwiające błyski na ciało i suknię”.

Tyle pisze Montfort.

Nie jestem ani marynarzem, ani detektywem, więc tego Quartier nie zwiedzałam.

Nie słyszałam szczęku tłuczonych szyb, dzikiego wrzasku murzynów.

Nie widziałam bójki na noże. Nie byłam na ulicy Bouterie.

Jest gorąco!

Przydałby się hełm korkowy, a jeszcze więcej... lody!

Na rogu Quai du Port i Rue de la République widzimy dużą cukiernię.

Cień! Porto z lodem, lody, oranżada z lodem. Wszystko z lodem!

Cień, chłód i cudowny widok.

Tuż obok nas przelewający się tłum, złożony ze wszystkich ras i ludów ziemi, i wiewające na wietrze reklamy „walki byków”. (Na reklamach: Picador! Matador! Złota kurtka! Czarny kapelusz! Czerwona płachta! I... byk!).

Do naszego stolika podchodzi turek, obciążony dywanami, gobelinami i sznurami dziwacznych paciorków.

Patrzę nieufnie na pustynię z palmą i wielbłądem (na gobelinowej poduszce), ale po chwili, skuszona widokiem rozwiniętej, perskiej makaty — zaczynam jej się przyglądać.

Co za cudowna gra kolorów! Rysunek. Napisy arabskie. Prześliczne! Zarzucić na fortepian? Czy powiesić na ścianie? Nie — najlepiej przykryć nią szeroką otomanę w gabinecie.

— Ile?

— 700 franków.

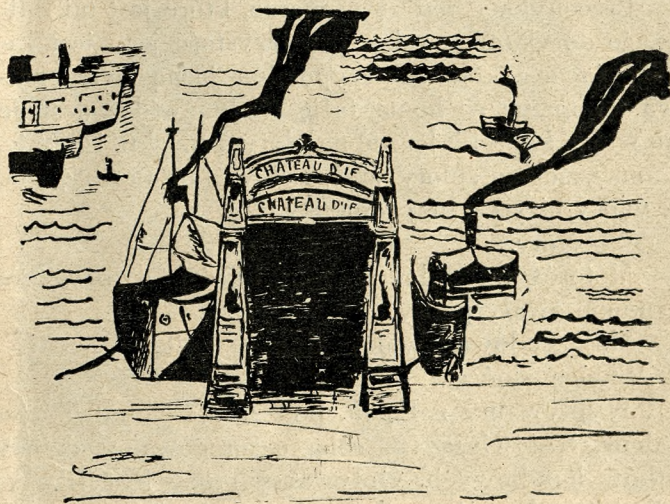
— Drogo.

Targuję się zawzięcie. Nie ustępuje. Odwracam się i jem lody. Turek odchodzi.

Mój mąż milczy tajemniczo i pali papierosa.

Jestem zła: już widziałam oczami wyobraźni tę makatę w naszym mieszkaniu na Nowogrodzkiej.

Turek wraca. Jestem ucieszona, ale dyplomatycznie nie okazuję tego po sobie.



Targ w targ, placę 500 fr. i makata zostaje na krzeselku obok naszego stolika.

Promienieje!

— A co? — pysznię się — co za okazja, oszukałam tego turka na 200 franków.

— No to, to wątpię — uśmiecha się mój mąż — przedziej on oszukał ciebie.

— Czytałeś napisy? Pewno z Koranu?

— Nie czytałem, mam jednak wrażenie, że to coś... nieprzyzwoitego! — przekomarza się mój mąż.

*

Jedziemy Corniche'ą wzdłuż szafirowego brzegu, poprzez most de la Fausse Monnaie.

Ginie nam z przed oczu port, a zbliżają się dzieki zarysy fioletowych skał, kontury miasta, położonego amfiteatralnie, kopuły bizantyńskiej Katedry i górująca nad wszystkim, przyczepiona do skały sylwetka Notre Dame de la Garde, z postacią Matki Boskiej na szczycie. Musi Ona być widoczna zdaleka przez tych, którzy tęsknem okiem lądu wypatrują.

Z drugiej strony morze... morze... morze, w ząbieniach małych, skalistych zatok. A tuż przy drodze wille, ukryte w cieniu palm i spływające po przez mury kaskady czerwonego kwiecia.

W dali... zarysy latarni morskich i skały tajemniczej „L'île du Chateau d'If“, dokąd jutro jedziemy...

*

Dziś zdradzamy „Baškę“ i pozostawiamy ją w garażu. Wybieramy się do starego portu, gdzie znajduje się mała, bajecznie kolorowa przystań z wielkim anonsem: „Chateau d'If“ i jeszcze raz... „Chateau d'If“.

Co pewien czas rozlega się przerażający gwizd, który oznajmia, że statek odpływa.

Kupujemy bilety i wsiadamy do niewielkiej, białej malowanej motorówki.

Jak najdalej od hałaśliwego motoru, jak najbliżej dzioba, w cieniu pasiastego płóciennego dachu.

Za najbliższą sąsiadkę Bóg nam zsyła rozgadana i roześmiana angielkę, której zęby uciekają z buzi.

Przechylna, patrzę w morze, które jest tak bliskie, że dotykam je ręką. Przejrzystość jego jest zachwycająca, a koloryt przypomina jasną zieleń majową. Poprzez ruchomą taflę wodną widzę dalekie dno, widzę kamyki, leżące na złotym piasku, i długie, ciemno - zielone sploty wodorostów, targane prądem, jak włosy nieszczęsnej topielicy.

Ruszamy.

Motorówka, nabierając szybkości, rozpryskuje z szumem zwały piany.

Moje cudowne widoki dna — znikają.

Słońce, słońce...

Wypływamy z Portu, pod siatką Pont Transbordeur, zostawiając za sobą uszeregowane dzioby statków handlowych. Opływamy mury fortyfikacji nadbrzeżnych, mijamy latarnię morską i zaczynamy kołysać się rozkosznie i rytmicznie na pełnym morzu.

Nasz „Kodak“ chwyta w przelocie mijane obrazy na wieczną rzeczy pamiątkę.

Za nami panorama Marsylji zmniejsza się, maleje i staje się podobną do pocztówki bajecznie kolorowej.

Przed nami rośnie przejmująca dzikością złotych skał, roztopiająca się w złotym, słonecznym żarze, wyspa d'If.

Już rozróżniamy zwaliska murów więziennych i wieżyc, oraz osypiska kamieni nadbrzeżnych.

Ani źdźbła trawy, ani krzaka, ani jednego drzewa. Pustynia.

Pustynia, wyrosła z dna szafirowego morza.

Wysiadamy, skacząc po żwirze, po kamiennych, ruszających się stopniach.

Pniemy się w górę, po rozpadających się murach, oglądając co chwila po przez wyloty starych strzelnic bajkę szafirowego morza.

Rozpada się w gruzy stare więzienie. Stare, gdyż już w roku 1524-ym — Franciszek I położył własnoręcznie pierwszy kamień pod wznoszące się fundamenty.

Gruzy tylko zachowały się, jako dokument historyczny, przedstawiający dzikość średniowiecznych zwyczajów, tortur i ciemnoty.

Maleńka ta skalista wyspa, którą obejść można wokoło w 10 minut, wewnątrz zachowała stosunkowo dobrze małe podwórze więzienne. Na środku tego brukowanego podwórza znajduje się studnia, z wielkim wiadrzem na łańcuchach i z mocną, okutą przykrywą, zasłaniającą otwór. Legenda mówi — że studnia ta była nieraz najstraszniejszą ze wszystkich... cel więziennych. W kącie, pod ostrołukowym sklepieniem — stos dziwacznych narzędzi, służących do torturowania. Człowiek XX wieku nie jest w stanie, patrząc na ich kształt, domyślić się celu ich przeznaczenia.

Wokoło dziedzińca — otwory, jak w katakumbach. Otwory, prowadzące do grobów, w których żywi ludzie spędzali dziesiątki lat... Więc cela Edmunda Dantés'a, ta pierwsza na wprost. Kamienne ściany i podłoga, tapczan, stółek, dzban wody... W górze małe, okratowane okienko (wychodzące oczywiście na podwórze wewnętrzne). Broń Boże, widoku na morze: za dużo szczęścia dla oczu! W kącie mały otwór w ścianie, otwór, mozolnie wykopany przez bohatera Dumasowskiej powieści „Hrabia de Monte Christo“. Otwór, prowadzący do sąsiedniej celi Księdza Farii. Tam to, w tej celi księżej snuć się miały tajemnicze rozmowy...

Z dziedzińca, po kamiennych schodach dostaliśmy się na żelazny balkon, otaczający wokoło podwórzec, skąd maleńkie drzwiczki prowadziły do wyższej kondygnacji cel.

Tu Bernadot spędził iks lat. Tu ksiądz Peretti, ksiądz Desmazures i sławna „Żelazna Maską“ przejęczeni długie miesiące pod czujnym okiem dozorca.

Wychodzimy na dziedzińce, a stamtąd na zewnętrzne mury obwarowań.

Słońce, radość i morze...

Morze nieprawdopodobnie szafirowe, zlekka falujące u stóp urwistych, prostopadłych skał — tam, gdzieś w dole...

Jakże fantastycznie wygląda możliwość ocalenia bohatera Dumasowskiego!

Ciało Dantes'a zrzucano z tych oto skał w worku, obciążonym kulami, w przepastne głębiny.

A potem cudowne wydobycie się z worka, wypłynięcie na powierzchnię i... dopłynięcie do brzegu.

Do brzegu? Marsylja daleko... Widać ją na horyzoncie z cudownym brzegiem Corniche'y.

Do wysp Pomegues, do Ratoneau, do Fort de Frioul — jeszcze dalej!

Dokąd więc ten nieszczęśnik dopłynął.

Co za temat dla nieprawdopodobnej fantazji takiego powieściopisarza, jak Aleksander Dumas!

I znów oczami wyobraźni widzę wspomnienie przeszłości...

Długie, długie szeregi żółtkłych tomów „Hrabiego do Monte Christo“, „Trzech Muszkieterów“ i t. p. i schyloną nad nimi głowę podlotka...

Z latami dopiero zjawil się krytycyzm!

*

Powrót był już mniej przyjemny, fala więcej ruchliwa, a dźwięki mandoliny przeraźliwe.

Przytem dialog dwóch marsyleczyków charakterystyczny, choć mniej pociągający.

Cytuję mały, zasłyszany urywek, wypowiedziany wolno i grzecznie twardym, południowym akcentem:

— A ja ci mówię uprzejmie, że jesteś... krowa! *)

— O... oh... ty synu Mussoliniego...

*

„Diner“ jedliśmy w jednej z restauracji nadbrzeżnych, gdzie obok win raczono nas specjalnością Marsylską, w postaci: „bouillabaisse“.

Co to jest „bouillabaisse“?

„Bouillabaisse“ — to całe morze na talerzu, a więc: ryby, ślimaki, krewetki, langusty, ostrygi i t. d. (w pikantnym sosie z szafranem).

Uważam, że... że popite winem, można „to“ za ledwie przelknąć.

Mężczyźni mają spaczony gust...

Mój mąż zjadł aż dwie porcje!

*

Na drugi dzień, wczesnym rankiem, znoszono nasze „nesesery“ do samochodu.

Jechaliśmy w dalszą drogę do Tulonu.

*) „Krowa“ — największa obelga we Francji, karana sądownie.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY:

„Miłość bez grosza“ — Komedja w 3-eh aktach St. Kiedrzyńskiego. Reżyserja St. Stanisławskiego. Dekoracje St. Śliwińskiego

Kiedrzyński jest mistrzem typów scenicznych. Postacie, stwarzane przez niego, są tak niesłychanie wypukłe i mówiące same za siebie, że, patrząc na akcję, toczącą się na scenie, ma się wrażenie, że wszystko to, co się dzieje, wypływa samo z siebie, jako konieczność nieunikniona i zrozumiała.

Losy uroczej Witaminki i jej niby szlachetnego, a nawet zakrojonego na miarę ideału, męża, zaplątane w labirynt uczuć i spraw wekslowych — byłyby napewno zupełnie inne, gdyby Witaminka nie była córką praczki, pani Koziolkowej i nie marzyła o posiadaniu kamienicy. Zagadnienie miłości do biednego malarza idzie w kąć wobec tej kamienicy, a poświęcenie „szlachetnego“ męża okazuje się zupełnie niepotrzebne: Witaminka zostanie przy mężu i kamienicy — bo cóż jest warta miłość bez grosza? Tak, ale od początku do końca niech myśli, że ta miłość to tylko

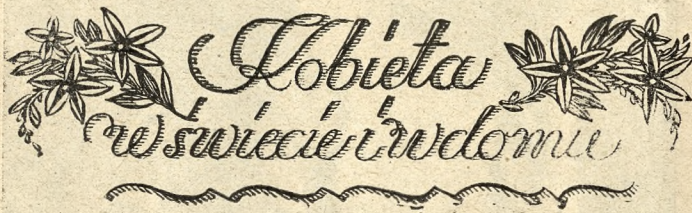


„Miłość bez grosza“ — Małicka i Wesolowski

urojenie Witaminki; tymczasem dowiaduje się, że ona kocha, naprawdę kocha tego Chomika, choć wyrzeka się go dla bogactwa. Na takim właśnie postawieniu sprawy polega oryginalne ujęcie tematu przez Kiedrzyńskiego, który wierzy, iż miłość słabnie wobec pożądania bogactwa i podkreśleniem tego punktu od razu stawia na nogi nowy typ kobiety i to właśnie tej okrzyczanej „powojennej”. I całe środowisko, otaczające Witaminkę i jej podległe, jest tego samego pokroju: zaferowane, robiące interesy i mówiące tylko o milionach. Nawet pseudo-szlachetny mąż, którego jedyną szlachetnością jest wielka miłość do żony, w imię której woli drobne szwindelki (broń Boże, duże świństwa!) nawet Chomik, który ma nawet trochę ambicji, ale nie ma okazji do wykazania jej — wszyscy, jak małe glisty, poruszają się w błotku walki o byt, lepiąc zeń kunsztownie domki i pałace.

Kiedrzyński stworzył typy żywe, ale doprawdy, chciałoby się mieć nadzieję, że nietylko Ordońscy i Fręgaszewscy są przedstawicielami powojennego społeczeństwa. Artyści grali bez zarzutu; na szczególne wyróżnienie zasługuje Junosza-Stępowski, jako podtatusiały obywatel z Polesia. Patrząc na jego grę i zmienioną do niepoznania postać, ma się chwilami za złe (ale niewiadomo, komu), że z pełnego uroku Stępowskiego, nieporównanego w roli amanta, zrobiono taką małpę. Ale czegoż się nie robi dla sztuki!

Z. M.



Z WYSTAWY PRACY KOBIEC W POZNANIU.

Z okazji Wystawy Poznańskiej ma się ukazać Bibliografia kobiet polskich, opracowana przez Polskie Stowarzyszenie kobiet z wyższem wykształceniem. Będzie to obszerny tomik, zawierający około 40.000 pozycji, w którego skład wejdą zarówno prace literackie, jak naukowe i popularno-naukowe. Na pokrycie kosztów tego wydawnictwa wydało Stowarzyszenie 400 kwitów po 20 zł., które będą uważane za przedpłatę na to wydawnictwo. Ofiarodawcy otrzymają prócz 1 egzemplarza zwrot sumy nadpłaconej powyżej własnego kosztu egzemplarza. Ponieważ już w marcu ma się rozpocząć druk bibliografii, Polskie Stowarzyszenie kobiet z wyższem wykształceniem usilnie prosi osoby, interesujące się tem, jedynem w świecie, wydawnictwem, aby zechciały nadsyłać przedpłatę pod adresem Stowarzyszenia: Warszawa — ul. Krucza 6 — tel. 240-48 — g. 11—2 i 17—19.

Kwity na uiszczoną przedpłatę będą wysyłane odwrotną pocztą.

KOBIEC PRZECIW WOJNIE GAZOWEJ.

Wielkie wrażenia w opinii całego kulturalnego świata wywarła konferencja, zwołana przez Ligę Kobiec Pokoju i Wolności w celu potępienia wojny gazowej.

Konferencja odbyła się w dniach 4, 5, 6 stycznia we Frankfurcie nad Menem (Niemcy) przy udziale delegatek Ligi Pokoju i Wolności oraz przedstawicieli szeregu towarzystw Pacyfistycznych różnych krajów.

Zwołanie konferencji do Frankfurtu było swego rodzaju manifestacją, czy też pikanterją: we Frankfurcie bowiem pracują liczne, olbrzymie fabryki chemicznego przemysłu, których produkcja przemysłowa może być w przeciągu niewielu godzin zamieniona, jak wiadomo, na produkcję wojenną — gazów trujących.

Protesty, jakie w tem groźnym ognisku niebezpieczeństwa dały się słyszeć przeciw metodom nowożytnego okrucieństwa, były głosami nader poważnemi i kompetentnemi.

Na czele konferencji stała działaczka szwedzka, Naima Sahlbom, profesorka chemji w Sztokholmie. Profesorowie i uczeni niemieccy, angielscy, szwajcarscy, między nimi p. Gertruda Woeker, profesorka chemji w Bernie Szwajcarskiem — odkryli straszną groźbę badań naukowych, prowadzonych nie dla wiedzy, nie dla zubożenia ludzkości, lecz w celu przygotowania masowego mordu w przyszłych wojnach.

Drugą część konferencji zajęły wywody lekarzy o skutkach zatrucia gazami i o sposobach ochrony organizmu ludzkiego przed niemi. I znowu fachowcy wyznawali, iż w obecnym stanie rzeczy ochrona taka jest niemożliwa. Gazy, których jest kilkanaście gatunków, nie dadzą się unieszkodliwić przy pomocy jednej maski — na każdy gatunek gazu trzeba mieć inne antydotum, niektóre zaś gazy działają w tak piorunującym tempie, że nie starczy nikomu czasu, by nałożyć maskę ochronną. Wojna gazowa skazuje nieodwołalnie zarówno szeregi armji, jak i ludność cywilną na okrutną śmierć w męczarniach lub długotrwałe kalectwo.

Wśród referentów zabrała też głos lakarka polska, p. dr. Justyna Budzińska - Tylicka, która zobrazowała straszliwe skutki działania gazów, podczas ostatniej wojny europejskiej. Przytoczyła, swe wymowne doświadczenia, zebrane w polskiej szpitalach polowych. Wypowiedziała się bezwzględnie przeciw wojnie i metodom chemiczno - bakterjologicznym, nad któremi pracuje wiedza współczesna, pohańbiona, zdaniem prelegentki, tą służbą na rzecz barbarzyństwa i zbrodni wojennej.

Protesty przeciw wojnie gazowej zabrzmiały też rozgłosnie na publicznem zebraniu, zorganizowanem przez konferencję przy udziale 1.000 osób.

Konferencja zakończyła się dyskusją, w której zabierali głos inni polscy delegaci, pp. mec. Lypacewicz i Kątkowski, reprezentujący Tow. Przyjaciół Pokoju.

W uchwalonych rezolucjach konferencja wypowiedziała się potępiając przeciw wojnie gazowej, niszczącej bezbronną ludność, równającą z ziemią osiedla ludzkie i pomniki kultury. Uczestniczki konferencji postanowiły prowadzić w tym duchu akcję w swoich krajach.

j. k.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. Rajczyzna. Nie możemy umieścić uwag Sz. Pani w tej formie: jest to sprawa zbyt drobna i zbyt specjalna dla naszego pisma.

P. M. Szarkowa. — Książka, o którą Sz. Pani zapytuje, jest do nabycia w administracji naszego pisma.

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.

MUSIMY ZNAĆ NASZE PRAWA

III.

O prawie małżeńskim w Wielkopolsce i Małopolsce

Niemiecki Kodeks Cywilny z 1896 r., obowiązujący na terenie b. zaboru niemieckiego, oraz Powszechny Austrjacki Kodeks Cywilny z 1810 r., obowiązujący w b. zaborze austrjackim, holdując, tak jak i Kodeks Cyw. Kr. Pol., zasadzie pozostawienia małżonkom swobody w urzędzeniu ich wzajemnych stosunków majątkowych — zezwalają na zawarcie odpowiedniej umowy, w której małżonkowie mogą stosunki te uregulować według swej woli.

Niemiecki Kodeks Cywilny umowę tę nazywa umową małżeńską. W myśl przepisów Kodeksu małżonkowie mogą ją zawrzeć przed i w czasie małżeństwa, mogą ją zmieniać, lub znieść, z czego wynika, że Kodeks niemiecki daje większą swobodę, niż obowiązujący w b. Kongresówce, Kodeks Cyw. Kr. Pol., który umowę taką pozwala zawrzeć jedynie przed ślubem, nie dozwala zmieniać jej i odwoływać.

Umowę małżeńską zawiera się przed Sądem lub notariuszem w jednoczesnej obecności obu stron. Co do systemów majątkowych, powstających wskutek umów małżeńskich, to Niemiecki Kodeks Cywilny wylicza cztery — dając przepisy obowiązujące w każdym z nich.

Są to: system ogólnej wspólności majątkowej, wspólności dorobku, wspólności majątku ruchomego i dorobku, rozdziału dóbr majątkowych. Nie naruszając przepisów bezwzględnie obowiązujących, małżonkowie mogą, w swej umowie małżeńskiej, systemy te łączyć i uzupełniać.

Jeśli małżonkowie umowy małżeńskiej nie posiadają, muszą się poddać następującemu unormowaniu ich stosunków majątkowych.

Każde z małżonków pozostaje nadal właścicielem swego majątku, lecz mąż otrzymuje zarząd i użytkowanie majątku, wniesionego przez żonę oraz nabytego przez nią w czasie małżeństwa.

Jego zarząd i użytkowanie nie obejmuje majątku t. zw. zastrzeżonego, do którego należą rzeczy, przeznaczone do osobistego użytku żony, w szczególności ubrania, kosztowności, przysługujące do pracy, to, co żona nabywa swoją pracą lub samoistnym prowadzeniem przedsiębiorstwa zarobkowego, to, co otrzymuje w spadku lub darowiźnie z warunkiem, że stanowić to będzie majątek zastrzeżony.

Mąż powinien majątkiem żony zarządzać „na leżycie”, winien udzielać na jej żądanie wyjaśnień o stanie zarządu.

Przysługujące mu prawo może być, naskutek żądania żony, wyrokiem Sądu odjęte, np. w wypadku, gdy mąż nie spełnia ciężącego na nim obowiązku dawania żonie i dzieciom utrzymania i można się obawiać, że i na przyszłość będzie się od tego uchylał.

Wrazie ustania zarządu i użytkowania, mąż powinien wydać żonie jej majątek, złożyć rachunki i wynagrodzić szkody.

Powszechny Austrjacki Kodeks Cywilny umowy majątkowe między małżonkami nazywa układami małżeńskimi. Tak jak i niemiecki, nie zawiera przepisów, zezwalających na zawieranie umów tych jedynie przed ślubem, zakazujących zmieniania lub odwoływania umów.

Kodeks austrjacki omawia następujące układy małżeńskie: Umowę o posag, dożywocie, pensję wdowią, wspólność majątkową, o oprawę — gdy mąż przeznaczą pewien majątek na własność żony, celem powiększenia posagu — ale tylko na ten przypadek, gdyby żona męża przeżyła, o wiano t. j. podarunek, który mąż przyrzeka dać żonie swej pierwszego poranku, i t. zw. kontrakt dziedziczenia, polegający na tem, że małżonek jeden powołuje na dziedzica drugiego, a ten drugi to przyjmuje (mogą również powołać się wzajemnie).

Gdy małżonkowie nie mają układu małżeńskiego, prawo austrjackie postanawia, że każde z nich pozostaje nadal niezależnym właścicielem swego majątku, przyczem mąż zarządza majątkiem żony, jeśli ona nie sprzeciwia się temu.

Wszystkie te trzy Kodeksy, jak również i Tom X-ty Zbioru Praw, obowiązujący na terenie Kresów Wschodnich w b. zaborze rosyjskim, ustąpią, miejmy nadzieję, za lat kilka nowemu kodeksowi polskiemu, opracowanemu przez Komisję Kodyfikacyjną Rzeczypospolitej Polskiej, dla całej Polski.

GNIAZDA ZATRZASKOWE

Im więcej się przekonujemy, że nam już obecnie bez „olówka w rękę” gospodarować nie wolno, tem więcej i gorliwiej badamy wszystkie dziedziny naszego gospodarstwa, chcąc wszędzie coś nowego, praktycznego zastosować, aby wydatki nasze możliwie uszczuplić, zaś korzyści powiększyć. Do tego przekonania doszły też gospodynie wiejskie, uznając, że kontrola nad niosnością drobiu jest konieczna, że wprost karygodnem jest trzymanie kur takich, które rok cały słabo się niosły i nam nietylko zysku nie przysporzyły, ale owszem na straty naraziły, jedząc karmę narówni z innymi łobremi nioskami.

Każda kura nosić powinna na nodze obrączkę z numerem; rano muszą być wszystkie rewidowane: te, które jajka mają na dziś — osobno zamknięte, aby się nie przyzwyczaiły do znoszenia jaj po kątach, i codziennie zapisywane, aby po skończonym roku dokładnie określić się dało, która kura ile jaj zniosła. Dobre nioski zatrzymujemy, złych się pozbywamy. Najprostsze szematy do zapisywania niosności, są następujące:

M I E S I A C

Nr. kury	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	Razem jaj			

po skończonym zaś roku:

R O K

Nr. kury	Z N I O S Ł Y J A J W													U W A G I																						
	Stycz- niu	Lutym	Marcu	wiet- niu	Maju	Czerw- cu	Lipcu	Sierp- niu	Wrześ- niu	Paź- dzier- niku	Listopa- dzie	Grud- niu	R a z e m																							

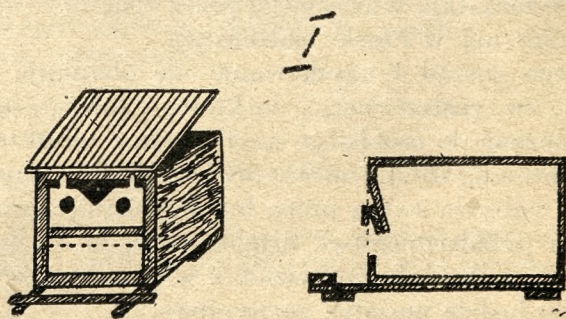
Aby ogólną wiosność podnieść, należy wiosną do wylęgu używać jaj tylko od najlepszych kur. Zbieranie jaj takich ułatwiają nam gniazda zatrzaskowe, które po wejściu jednej kury same się zamykają, uniemożliwiając wejście reszty tłoczącej się gromadki. Kura w spokoju jajko swoje znosi, nie gniecie go, co się często zdarza, o ile ma skorupkę bławą, potem zaś przy pomocy umieszczenia wieka musi być z niewoli swej uwolniona (sama wydostać się nie może).

Wypuściwszy kurę, wyjmujemy jajko i, o ile jest na dobrej nosce, chowamy oddzielnie, zaopatrując je uprzednio datą, aby starszych jaj, jak dwutygodniowe, pod kurę nie podkładać. Chcąc prowadzić wzorową hodowlę, powinniśmy jeszcze znaczyć każde jajko numerem kury, dla późniejszej kontroli kurcząt, żeby wiedzieć dokładnie, które kurczę jest po której kurze i dalej badać cechy dziedziczne poszczególnych sztuk. Są to rzeczy bardzo skomplikowane, wymagające ogromnego nakładu pracy i systematyczności i dlatego dla szerszego ogółu naszych gospodyń, niestety, niedostępne. Opis podobnej hodowli nie dalby się skreślić w kilku słowach i nie o tem chciałam dziś mówić; przechodzę więc wprost do opisanie dwóch gniazd zatrzaskowych, których opisy i przekroje znalazłam w czasopiśmie niemieckim „Land und Frau“. Są one mało skomplikowane, łatwe do wykonania domowym sposobem:

I.

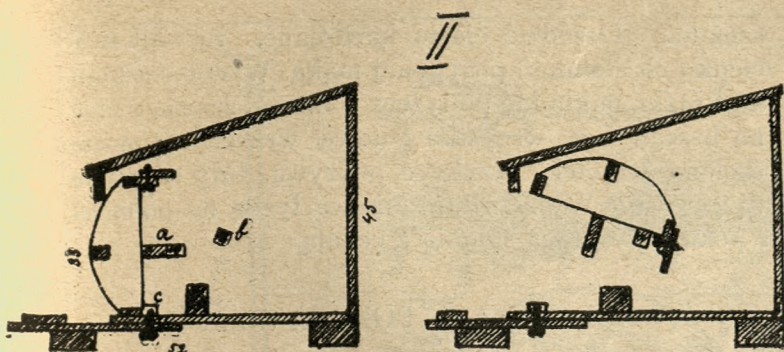
Jest to skrzynka 35 cm. szeroka, 40 — 50 cm. długo i 40 cm. wysoka. W jednym ze szczytowych boków wycinamy otwór, do którego zastosowujemy samo — zatrzaskujące się drzwiczki; drzwiczki te składają się

z dwóch części, spojenych paskiem skórzanym, zastępującym zawiasy, i takimiż dwoma paskami u góry przymocowane są do skrzynki. Ze strony zewnętrznej, w połowie otworu, w kierunku poziomym przybijamy 5 cm. szeroką listwę, aby nie dozwolili kurze od wewnątrz wypchnąć drzwiczki i również aby o tę listwę oprzeć złożone drzwiczki, gotowe do wpuszczenia następczej. Kura, wsuwając się do skrzynki, unosi cokolwiek drzwiczki, które się momentalnie rozkładają i, po jej przejściu w głąb, opadają, uniemożliwiając wyjście. Dla łatwiejszego dostępu światła i powietrza robimy w drzwiczkach parę otworów, jak to uwidoczniłam na poniższym rysunku. U góry skrzynkę zamykamy wieczkiem, za pomocą zawiasów przymocowanem, żebyśmy bez trudu kurę wydostać mogli.



II.

Gospodarstwa, które nie prowadzą ścisłej kontroli jaj, a chodzi im tylko o to, aby kilka kur równocześnie nie tłoczyło się do gniazda, co często powoduje tłuczenie już tam złożonych jaj, uważają model II za praktyczniejszy. Różni on się od I-go kształtem,



t. j. spadzistym daszkiem, co jednak koniecznym nie jest, jeżeli się uwzględni odpowiednią przestrzeń u góry, aby nic nie zawadzało bujaniu się drzwiczek. Drzwiczki tu — to dwa półkrażki (bieguny), połączone ze sobą cienkimi listewkami, które, o ile nie są gęsto nabite, można oblec drucianą cienką siatką. Zapomocą listewki *a* i śrubki przymocowuje się je do boków skrzynki, tak, aby zupełnie luźno chodziły. W miejscu *b* przybijamy klocek, na którym się opierają, oczekując na wejście kury. Takież sam klocek umieszczamy na dnie skrzyni w miejscu *c* i cokolwiek dalej, we wnętrzu, jeszcze jeden większy, aby kura, przechodząc przez niego, zmuszona była cokolwiek się unieść i przez to samo zawadzić i pchnąć drzwiczki, które zatarasują wyjściowy otwór. Z chwilą, gdy jajko już zniesione, kura będzie usiłowała ze skrzynki się wydostać, co jej się łatwo uda; gdy pchnie drzwiczki w dolnej ich części, a one same powrócą do poprzedniej pozycji. Gniazdo jest wtedy wolne dla następnej. Ta łatwość wydostawania się kury z gniazda bez pomocy człowieka czyni je bardziej wartościowym i praktyczniejszym. Daszek musi być i u tej skrzynki przymocowany, jak w poprzedniej.

Wnętrze skrzynek tych, czyli gniazd, powinno być wyłożone sianem, często zmienianem.

Gniazda takie można robić w dowolnej ilości, umieszczając je w jednej długiej skrzyni; chodzi tylko o to, aby nie były zaciasne i aby zasadnicze podstawy i kształt drzwiczek były utrzymane. A. D.

JAK ROZMROZIĆ ZMARZNIĘTE PRODUKTY SPOŻYWCZE

Produkty spożywcze najczęściej marzną od silnego obniżenia ciepłoty, gdy zapomniano na noc zamknąć okna. Zmarznięte produkty można uratować, byleby ich za szybko nie wnosić do ciepła, bo od razu jarzyny i owoce zaczną gnić, jaja — psuć się, a ziemniaki dostaną ciemnych plam. W tym samym miejscu, gdzie je przechowywaliśmy, pokłaść je do dużego naczynia z zimną wodą. Im woda zimniejsza, tem skuteczniej działa. Po 5—6 godzinach ziemniaki odtają, a woda będzie się pokrywać lodowymi igielkami. Tę lodową powłokę należy zdejmować. W razie potrzeby zanurzyć je jeszcze raz w zimnej wodzie. Wyjęte ziemniaki wytrzeć, przenieść do chłodnej, lecz nie mroźnej piwnicy, ażeby w niej poleżały 3—4 tygodnie, to cukier powstały z zamiany krochmalu zniknie. Jaja i jabłka kłaść również do zimnej wody albo do śniegu, ale tak, żeby się wzajemnie nie dotykały, to prędzej odtają. Zbierać pływające na wodzie kryształki lodowe. Wyjąć jabłka, gdy przestaną się tworzyć te kryształki, włożyć po raz drugi do zimnej wody i po kilku godzinach je wyjąć. Zużytkować je możliwie szybko, bo pomimo przechowywania w chłodnym miejscu mają skłonność do gnicia. Jabłka będą zdatne do jedzenia na surowo i w potrawach. Przed użyciem wyciąć z nich ciemne plamy. Tak je układać, żeby się ciemnymi plamami nie dotykały, bo się wzajemnie zarażają. Buraki, selery, pory, marchew, wszelkie kapusty (biała, czerwona, włoska, brukselka) i t. p. tak długo trzymać w zimnej wodzie, dopóki nie odtają, co można poznać po tem, że na powierzchni wody przestaną się tworzyć kryształki lodowe. Po rozmrożeniu szybko je użyć, bo mają wielką skłonność do gnicia.

Inż. L.

Przepisy Gospodarskie



BUDYŃ Z GOTOWANEJ RYBY.

Z drobnych rybek zbyt ościstych, aby mogły być podawane w całości, jak to z jazgarzy, płotek, okońków, jazików, lub też z ryb niezbyt smacznych, jak miętusy, po ugotowaniu z nich rosółu lub zupy, — na który to użytek wybornie się nadają, — można zrobić bardzo smaczny budyń. Na pół kilo już obranej z ości ryby wziąć dwadzieścia deka bułeczki, wymo-

Już wyszła książeczka

p. t.

„POTRAWY Z RYB“

Sposoby przyrządzania ryb rzecznych, morskich i jeziorowych.

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99.
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O.
T-wa Wydawniczego „Bluszcz” Nr. 13.555.

czonej w mleku, sporą cebulę, przesmażoną w maśle, wszystko razem przepuścić przez maszynkę i wyrobić mocno na misce drewnianą łyżką, aby się masa stała gładka i jednolita. Dodać trzy żółtka, osolić, lekko popieprzyć, dodać, — kto lubi, — galki muszkatołowej lub zielonego koperku (może być suszony), wymieszać doskonale. Pozostałe białka ubić na bardzo sztywną pianę, zmieszać z resztą masy, przełożyć do formy budyniowej, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką, zamknąć szczelnie pokrywą. Wstawić w rondel z wrzącą wodą i gotować godzinę i pół od chwili zagotowania. Wyłożyć na półmisek i podać z sosem pomidorowym, pieczarkowym, kaparowym, rakowym, koperkowym, lub tylko z rumianem masłem.

COTELETTES DE VOLAILLE (z kury).

Potrawa ta na dzisiejsze czasy może się wydać nieco zbyt krową, gdyż z jednej młodej kury można zrobić tylko dwa kotlety. Jednak, ponieważ resztę mięsa i kości użyć można na wyborne kotlety sickane, potrawki, rosoly, zupy przecierane i t. p. — ten zbytek jest tylko pozorny. Zresztą w dużych miastach handlarze drobiu sprzedają chętnie same tylko piersi kury na kości, a w takim razie nic się już nie marnuje, gdyż skórki i kość piersiową można użyć do jakiejś zupy, lub na smak do sosu. Bardzo ostrym nożem odjąć z kości całe piersi kury wraz z pierwszą kostką skrzydelka. Otrzymane dwa kawałki rozbić płasko i tak szeroko, jak się tylko da, przyczem mięso od uderzeń młotka powinno się zupełnie zmasować. Zwijamy je wtedy, nadając ładny kształt kotleta z kostką, wkładając w sam środek kawałek śmietankowego masła. Kotlet maczamy w jajku, obsypujemy suto tartą bułeczką i smażyemy na bardzo obfitem maśle lub fryturze na blade złocisty kolor. Dla odmiany zamiast masła można włożyć w środek łyżeczkę pieczarek, uduszonych w maśle, co daje wyborny aromat, gdy masło tylko zachowuje soczystość kotleta. Do takich kotletów podaje się jakąś wykwintną jarzynkę: groszek zielony, fasolkę zieloną lub szparagową, ale tylko bardzo młodą, brukselkę, purée z selerów lub kasztanów i cytrynę, krajaną w podługne ćwiartki.

PIEROŻKI KARTOFLANE.

Pół kilo kartofli ugotować w lupinkach, obrać, dopóki gorące, przepuścić przez maszynkę. Dodać ćwierć kilo mąki i dwa jaja całe, osolić, wyrobić ciasto, aż od ręki odstanie. Ćwierć kilo obrzynek od szynki lub gotowanego przeraśniętego boczką pokrajać najdrobniej i zmieszać z dwiema dużymi cebulami, drobno pokrajanymi i przesmażonymi z łyżką

szmałcu. Ostudzić ciasto kartoflane, rozwałkować cienko na stolnicy, posypanej mąką. Wycinać szklanką krążki, nakładać po łyżeczce farszu, zaciskać mocno brzegi. Gdy wszystko gotowe, wrzucić na mocno osolony wrzątek, przykryć pokrywą. Gdy wypłyną, są gotowe. Wyjąć durszlakową łyżką na półmisek i polać roztopioną słoniną z cebulą.

GALARETA W POMARAŃCZACH.

Bardzo dużym pomarańczom o cienkiej skórce ścinać wierzchy. Łyżeczką wyjąć ze środka wszystko mięso i włókna. Zmierzyć szklanką ilość płynu, potrzebną do napełnienia pomarańcz. Z soku pomarańczy, białego wina i cukru zrobić odpowiednią ilość płynu, dodać na każdą szklankę trzy listki białej żelatyny. Oddzielnie rozpuścić w tym płynie parę listków żelatyny i trzymać w ciepłe. Pomarańcze ustawić na lodzie, nalać po trzeciej części galarety w kolorze naturalnym. Gdy zastygnie, nalać drugą warstwę, lekko zakolorowaną na różowo. Gdy i ta zastygnie — nalać resztę, już mocno zakolorowaną pozostałą czerwona żelatyną. Gdy mocno zastygną, najlepiej dopiero w dwanaście godzin po nalaniu, przekrajać bardzo ostrym nożem na połówki i podać ładnie ułożone w piramidę na kryształowej paterze.

Pani Elżbieta.

**Niezbędna dla każdej gospodyni
jest książeczka
p. t.
„Czyszczenie przedmiotów
codziennego użytku“
które daje cenne rady i wskazówki
::: utrzymania porządku w domu. :::**

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99.
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O.
T-wa Wydawniczego „BLUSZCZ“ Nr. 13 555.

W odpowiedzi wszystkim Czytelniczkom, które zwracały się do nas w tej sprawie donosimy, że Sekcja Kulinarna Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, otwiera w najbliższych dniach 3-miesięczny kurs gotowania dla kobiet z inteligencji.

Informacje tel. 161-26 od godz. 4-ej do 5-ej pp.



W oczekiwaniu pary królewskiej podczas zabawy w parku "Buckingham Palace"



Dokola kiosku z herbatą



Royal Academy

Society

C ALE życie towarzyskie Anglii koncentruje się przy tradycyjnej filiżance herbaty. Herbatę podają zarówno podczas zabawy w cieniście parku pałacu królewskiego, zwanego „Buckingham Palace,” jak i na przedmieściu, gdzie w skromnym mieszkaniu pani Gadulska opowiada swoim przyjaciółkom najnowsze ploteczki.—

Uczestnicy zabawy w parku królewskim czują się najmniej swobodnie, niż towarzystwo, zbierające się u p. Gadulskiej. Przypisać to należy nastrojowi, który wywlekuje dobrze przyrządzona filiżanka herbaty, może dzięki temu, iż działa kojąco na nerwy i orzeźwia, a może dlatego, że jest wprost doskonała. Nie analizując tego bliżej, skonstatować należy, iż filiżanka herbaty nadzwyczaj dobrze usposabia i że podobnego nastroju, nigdy nie można osiągnąć przy kieliszku wina. A jeżeli zabawa udała się wiadomo jest oddawna wszystkim paniom domu, że zawiadczają to jedynie filiżance orzeźwiającej herbaty Lyons'a.


HERBATE LYONS'a

podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.—




Królewska łoża na polu wyścigowym Ascot

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A.GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI **„VARICOL”**
 USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
 WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
 DAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA A.GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75,
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Piotrkowianka Z. J. D. w odpowiedzi Poleszance.

Z powodu listu Poleszanki nasunęły się i mnie pewne myśli, jak zwalczyć tytułomanję wśród żon oficerów.

Rozmawiając z kilkoma paniami, doszłam do wniosku, że wszystkie są jakoby przeciwne błyszczeniu szarżą męża. Niezawsze jednak te panie są konsekwentne. Na zebraniach czy zabawach zapominają o tej pięknej teorii, tytułując się zawzięcie. Opuśczenie tytułu wywołuje często niezadowolenie, szczególnie u pań starszych, które widocznie uważają, że tytuł męża dodaje im znaczenia czy szacunku.

Jest to naturalnie zwykła próżność, ale prócz niej i zadawnione pojęcia, że to czem jesteśmy, zawdzięczać możemy tylko stanowisku męża. Nie było bowiem zapewne wypadku, aby mężczyzna powoływał się na stanowisko, lub tytuł żony. Przeciwnie. Ile to razy obecnie, gdy tyle mamy kobiet uczonych i działaczek, mimowoli zdarza się nam wypowiedzieć o mężczyźnie informację — mąż tej historyczki, posłanki i t. p., oglądamy się jednak wtedy zawsze z pewną obawą, czy aby zainteresowany nie usłyszał — jakkolwiek byłby dumny z swej małżonki, takie określenie, że jest tylko mężem znanej kobiety, napewno zadrasnęłoby jego osobistą ambicję.

A my przeciwnie — młodziutka nieraz panieneczka, która się jeszcze po świecie dobrze nie rozejrzała, gdy jej los zdarzył, że poślubiła oficera wyższej szarży, lub wogóle człowieka na wyższym stanowisku, już gotowa błyszczeć tytułem męża. Powie kto może iż to tylko dowód przywiązania i dumy — ale napewno lepiej będzie, jeśli oba te uczucia, nie wystawiając ich na pokaz, zamkniemy w obrębie rodzinnego ogniska. Walka jednak z tą tytułomanją w wojsku zwłaszcza, jest trudna. Poradzić coś na to mogłaby, jak słusznie zauważyła Poleszanka, jedynie akcja Zarządu Głównego Rodziny Wojskowej.

A zatem czekamy na odezwę „Rodziny Wojskowej“, nawołującą członkinie do zaprzestania używania tytułów.

Łodzianka.

„Choć nisko — patrz wysoko“; choć ciasno — ducha rozszerzaj“.

To nie są górnołotne — frazesy literackie — to są źródła naszego trwania w szarym kieracie życia.

Gdzieś w tajemnych zakamarkach duszy, siłą nieznaną, wytwarza się świat własnych bogactw, ukochany świat ideałów i piękna.

Codzienna praca przysypuje go popiołem pospolitości, męką wysiłków, trywialnością walki o lepszy kęs, i człowiek naprawdę wykrzywia się w stronę życia, bo ono brzydkie, takie niepodobne do najskromniejszych marzeń. A jednak czasem, niezbyt nawet rzadko, ujrzymy w tej szarości życia taki blask, taki dowód owych nieznanych sił duchowych, taką wzruszającą swą skromnością, moc psychiczną, że ogarnia nas podziw i miłość dla tego życia, na którego drogach wykwitają takie niespodziane piękności i siły.

Jednem z tych wrażeń, niedawno przeżytem, a świadczącym o sile ducha kobiety, pragnę podzielić się z czytelniczkami.

Któregoś dnia przychodzi do nas staruszka, lat 80, przynosi uszyte przez siebie pantofle-bambosze, może kupimy dla starszej osoby, wygodne, niedrogie. Dobrze, załatwione. Proszę spocząć, rozmowa — kawa.

No i kobieciątko się rozgadało — mówiło, mówiło — a my słuchaliśmy, aż oczy łzami zachodziły, aż serce do gardła uciekało. Trzeba było widzieć ogień młodego ducha w starczem cieple, powagę dobrze przeżytego życia! Żadnej zgrzybiałości, żadnego narzekania na obecne ciężkie czasy! Ta kobieta miała dar wspomnienia swoich najwdzięczniejszych chwil — tem żyła głośno, oplakując pocichu gorzkie zawody i straty.

..... Więc proszę pani, wszystko robiłam co mi kazali, a że miałam lat czternaście, byłam bardzo śmiała. Umiałam dobrze po niemiecku, to do mekale mówiłam po niemiecku, brali mnie za niemkę i nie rewidowali, więc nosiłam listy do obozu, do więzienia. Dziś dopiero zdaję sobie sprawę, że zrobili ze mnie kurjera. Nic dziwnego, ojciec mój był dziesiątnikiem — a ja byłam wścibska i wszędzie mnie było pełno. Tu w Łodzi działy się okropne rzeczy w 63-cim roku“.

Opowiadała o bitwie pod Dobrą w okolicach Łodzi, o wieszaniu powstańców, o swoich dziwnych uczuciach, gdy patrzyła na umęczonych: „wyglądali, jak wycięte z czarnego papieru zabawki — nie ludzie“.

Potem wyszła zamaż, miała trzynaścioro dzieci — wszystkie poumieraly, została z dwójgiem wnucząt po córkach. Umieściła dziewczynki w zakładach opieki społecznej, a sama pracuje, zarabia na siebie szyciem pantofli. Trochę jej dają z opieki społecznej jako weterance. Żyje wspomnieniem swoich czynów,

placze pocichu po dzieciach... i uśmiecha się do nowego, szczęśliwego życia.

Oto typ.

Czy my będziemy umiały tak dożyć? Nie zestarzeć się duchowo — nie dać się złamać nieszczęściom?

Ona napewno nie знаła budujących aforyzmów, a jednak dalej przedzie szarą nitkę życia, nadając jej srebrny blask mocą duszy.

Ile jeszcze w różnych strónach żyje takich nieznananych bohaterek, które służyć nam powinny za wzór, a trzeba im się przyglądać prędko, prędko — bo to już ostatnie lata ich życia na ziemi.

P. S. D. Wielkopolska.

Wielkim pokazem tego, co zdążyliśmy zrobić w okresie dziesięciolecia niepodległości będzie wystawa poznańska.

Myślę, że nietylko my tu w Wielkopolsce, ale wszystkie dzielnice kraju z niecierpliwością i natężeniem oczekują tego egzaminu naszej pracowitości i tężyzny, którym i zagranica nie byle jak się interesuje.

I tylko my, Wielkopolanie i Wielkopolanki dumni jesteśmy, że na naszym terenie i przy tak wielkim udziale miejscowej inicjatywy i pracy odbędzie się nasza pierwsza wystawa powszechna.

Trzy miesiące przeszło dzieli nas jeszcze od dnia jej otwarcia. Zrobiono już bardzo wiele, bo prace trwają od dwóch lat, a obecnie są prawie na ukończeniu.

Cały prawie ogromny teren wystawowy jest już skanalizowany, w niektórych jego częściach wykonano już roboty brukarskie i elektryfikacyjne, w pozostałych są one na ukończeniu.

Chlubą wystawy będą stadjony sportowe. Jeden mniejszy na 4 tys. miejsc siedzących, przeznaczony na pokazy i mniejsze zawody, drugi wielki na 25 tys. miejsc na błoniach Wildeckich, na wielkie zawody sportowe. Stadjon ten zaopatrzony został w urządzenia stanowiące ostatnie słowo techniki nowoczesnej, wspaniale bieżnie, boksy dla samochodów i t. p.

Imponująco przedstawiają się gmachy pawilonów wystawy, z których większość jest ukończona, jako budowa a tylko trwają w nich roboty wewnętrzne. Budynki rządowe jak gmach Ministerstwa Komunikacji, poczt i telegrafów. Bank Gospodarstwa Krajowego, liczne pawilony szkół, uniwersytetu, w jednym z nich wystawione będą eksponaty departamentu kultury i sztuki.

Ogromny będzie dział rolnictwa i przemysłu rolnego. Obejmie on też inwentarz rolny z szeregiem pokazów, pola doświadczalne, a także osobny dział jedwabnictwa. Gwoździem wystawy będzie jednakże przemysł. Szereg wielkich hal przemysłu już wykonano. Znajdą tu pomieszczenie wszystkie działy: metalurgiczny, włókienniczy, maszyny, meblarstwo, konfekcja, hutnictwo i górnictwo, przemysł spożywczy, produkcje roślinne, chemja, farbiarstwo i t. p.

Dział rozrywek wystawowych zapowiada się bardzo pomysłowo. Są to jednak rzeczy, które zabłysną w ostatniej chwili. Obecnie wykańcza się wspaniała, nowa palmiarnia w parku Wilsona, baseny, fontanny świetlne, liczne budynki restauracyjne, no i naturalnie dancingi. Jest i olbrzymi hotel wystawowy, napewno jednak zabraknie miejsc, nietylko w nim, ale wogóle w mieście.

Propaganda bowiem wystawy prowadzona jest znakomicie. Każdego dnia biuro prasowe rozsyła dziesiątki komunikatów, broszur, ulotek, rozprzestrzenia ono ćwierć miliona plakatów, rozpoczęła się już kampanja propagandowo-turystyczna zagranicą — będziemy gotowi.

I jeszcze tylko jedna troska, nas kobiet specjalnie — naszego pawilonu. Praca kobieca rozrzucona będzie we wszystkich działach. Cudzoziemcy zachwycać się będą, jak tylokrotnie na różnych wystawach, gdzie tylko łącznie z państwami zaborczymi figurowaliśmy, naszymi cudownymi kilimami, welnikami, haftami; będą to przecież eksponaty pracy rąk kobiecych. Tak samo w rolnictwie — cały dział gospodartwa domowego, kucharstwo, przetwory owocowe, ogrodnictwo, jedwabnictwo, przemysł domowy, ileż w tem kobiecego trudu. Ale chodzi bardzo o pokaz syntetyczny tych wysiłków, o zobrazowanie działalności kobiet, w nauce, sztuce, przemyśle, gospodarstwie i pracy społecznej. To będzie zadanie naszego, specjalnego pawilonu. Nietylko eksponaty same, ale wykresy graficzne, statystyka stanowiąc będą materiał zarówno historyczny, jak czasów dzisiejszych. U nas prace nad przygotowaniem tego pawilonu idą w szybkim tempie, wiem, że tak samo jest w Warszawie, ale jak w innych dzielnicach? Powiedzcie nam panie o tem, bo oczekujemy pilnie tych wieści. Uważam, że powinniśmy dawać je sobie za pośrednictwem naszej „Mównicy“. Z każdego miasta, z każdego zakątka kraju płynąć powinny wieści: u nas są takie przygotowania, u nas już to zrobiono.

Czekamy tych wiadomości niecierpliwie -- bo czas nagli.

P. R. M. Wielkopolska.

Zgóry jestem przekonana, że to co powiem, nie będzie żadną nowością dla czytelniczek „Bluszczu“, ale mimo to czuję potrzebę podzielenia się swemi spostrzeżeniami o pracy społecznej, pracy stowarzyszeń i związków, bo jak mówią publicyści, każda praca jest społeczną, tak samo ministra jak i zamiatacza ulic, chodzi tylko, by była wykonana sumiennie, a będzie użyteczna. Pracując od kilku lat w stowarzyszeniach kobiecych, spostrzegłam, że większość członkiń nie zdaje sobie sprawy z obowiązków, korzyści i prac życia stowarzyszeniowego. Ot — należą, bo je namówiono, płacą składki (niezawsze), ale zainteresowania i chęci pracy nie objawiają żadnej. Drugą bolączką jest wysuwanie na stanowiska naczelnie osób nie fachowych, dających swój czas jak z łaski. Często np.

prezeska miesiącami nie bywa na zebraniach, gdyż jest na wsi lub zagranicą. To znów panie opuszczają posiedzenie z powodu wizyt, przyjęć w domu, zabaw i t. p. Zdarza się, że kilkakrotnie przysyłane w różnych sprawach listy członków zostają bez odpowiedzi. Jak to nazwać? Nie przeczę, że mamy w naszych stowarzyszeniach osoby, pracujące honorowo a oddane całą duszą i sercem sprawie, ale obok nich spotykamy i takie, które swą obojętnością udaremniają nieraz kilkoletnie wysiłki naszej mrówczej pracy. Miejmy odwagę im to powiedzieć i zażądać albo rzetelnego wypełniania obowiązków, albo zrezygnowania ze stanowiska. Tempo współczesnej pracy wymaga racjonalnego czynu a nie lenistwa i synekuralnej reprezentacji.

P. A. P. — Katowice.

W ubiegłym tygodniu zamknęła swoje podwoje wystawa Śl. Zw. Kół Gospodyń Wiejskich, urządzona w gmachu „Domu Związkowego“. Wzbudziła ona wielkie zainteresowanie, czego dowodem były liczne rzesze zwiedzających.

Na wystawę nadesłały swe prace kobiety śląskie, zarówno ze Śląska Górnego jak i Cieszyńskiego, oraz młodzież szkolna.

Najefektowniej wystąpiło Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej Żeńskiej (10 kół), zajmując narożnik sali pracami bielizniarskimi, haftami, trykotażami wyrobami z wełny (własnego przędzenia) i t. p. Prawdziwie artystycznie wykonany, zwracał powszechną uwagę proporzycyk S. M. P. z Wielkich Piekar z wyhaftowanym pięknie obrazem Matki Boskiej.

W pobliżu, na stołach, znalazły się ekspozyty Kat. Tow. Polek: piękne hafty białe i kolorowe, kolekcja lalek w śląskich strojach ludowych. Wszystko to wyroby wieśniaczek, zajętych przez cały dzień ciężką pracą gospodarczą!

Polki z Cieszyńskiego wystąpiły ze swymi pracami, wśród których zasługują na wyróżnienie precyzyjnie wykonane koronki do czepków, jakie w Cieszyńskiem noszą kobiety.

Dział retrospektywno-zabytkowy reprezentowało kilka manekinów ze strojami śląskimi, kilka starych talerzy fajansowych, pisanki i t. p. Bogato przedstawiał się zbiór „szalów tureckich“, jakie noszą matrony śląskie. Niejeden z nich mógłby się znaleźć w gablotce muzealnej. Katowickie Kursy robót ręcznych p. Mroczkowskiej - Piradof nadesłały guziki, hafty, wyroby z rafji i szpagatu i t. p. Wreszcie pod hasłem „Łatwiej trudy znieść, gdy człek ma co zjeść“, wystąpił Śląski Związek Kół Gospodyń Wiejskich z bufetem suto zastawionym wiejskimi specjałami.

Całość wystawy dała chlubne świadectwo pracy kobiet śląskich.

P. S. B. — woj. Piotrkowskie.

Ponieważ w „Mównicy“ poruszane są różne sprawy kobiece, chciałabym zwrócić uwagę na spr-

wę pomocy materialnej wyłącznie dla kobiet. Uważam bowiem, że w tej dziedzinie jesteśmy uzależnione od mężczyzn. Jeśli jeszcze nie posiadamy dużego majątku osobistego, a chcemy dostać pożyczkę np. na weksel, to musi on być żyrowany przynajmniej przez jednego mężczyznę. Niema tego w żadnej ustawie, ale w praktyce tak jest, i wogóle sprawa ta przedstawia się bardzo uciążliwie.

A ileż jest kobiet, które nie mając żadnego stanowiska, żadnej emerytury, żadnego zabezpieczenia znajdują się na starość w nędzy.

Dużo takich widziałam i często zastanawiałam się nad ich okropnym losem. Są to, po większej części, nauczycielki prywatne, krawcowe, drobne szwaczki i t. p. Położenie ich w starszym wieku jest okropne. Zależą tylko od łaski ludzkiej.

Przyszło mi na myśl, że zapomocą pisma kobiecego, jak „Bluszc“, możnaby zorganizować kobiecą Kasę Oszczędności, i starać się wciągnąć do płacenia składek liczne kobiety ze wszystkich sfer. Składkę miesięczną ustalić jaknajmniejszą, choćby 50 gr., żeby jaknajwięcej kobiet mogło ją płacić. Zobowiązać każdą z pań, która prenumeruje „Bluszc“, aby skłoniła jaknajwiększą ilość kobiet do należenia do Kasy, zbierała od nich składki i odsyłała je do Kasy Głównej. Z tych sum, które uzbieramy drogą składek i ofiar dobrowolnych, jedną część przeznaczyć na pożyczki na bardzo dostępnych i wygodnych warunkach, ale za pobieraniem chociażby małego procentu, żeby w ten sposób kapitał powiększać. Drugą zaś zużyć na *bezzrotne* zapomogi, kobietom zostającym chwilowo bez zajęcia, chorym, starszkom bez żadnego zaopatrzenia i t. p. Prawo korzystania z pożyczki lub zapomogi powinny mieć członkinie, po roku należenia do „Kasy Kobiecej“ i płacenia składek.

Wreszcie panie, które są buchalterkami i kasjerkami ułożyłyby statut „Kasy Kobiecej“, a zdaje mi się, że instytucja taka, mogłaby się bardzo rozwinąć i przynieść duży pożytek wszystkim kobietom. Bo choć większość ich objęta jest obecnie ustawą emerytalną, to napewno pozostaje jeszcze wielka ilość pracownic, którym ta ustawa nie przysługuje. Zagranicą takie Kasy znajdują się prawie przy każdym większym zrzeszeniu kobiecym i prosperują doskonale.

P. S. z Jurgowa w odpowiedzi p. Wandzie T. Warki.

Kobiety spiskie sprowadzają w wielkich ilościach wełnę z Czechosłowacji, a że zapotrzebowanie jest ogólne, bo górale noszą ubranie wyłącznie z domowego sukna, zabrałyby teraz i w przyszłości cały zapas. Prosimy o podanie ceny wełny czystej, gremplowanej z workami i dostawą do stacji kolejowej. Gdybyśmy mogły nawiązać korespondencję wprost, zyskałybyśmy na czasie, bo obecnie jest pora przędzenia. Adres: Spisko-Orawska Szkoła Zawodowa w Jurgowie na Spiszu.